

JOHN BUCHAN  
**39 SCHODÓW**



**John Buchan**

**Trzydzieści dziewięć schodów**

# Trzydzieści dziewięć schodów

Tłumaczenie: Marcei Szpak

Redakcja: Adam Pluszka

Skład i korekta: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Ilustracja na okładce: Charles Robert Leslie - *Scottish Loch, Sunset*

ISBN 978-83-64416-60-6

Wydawca:

Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

*Dla Thomasa Arthura Nelsona  
(pułk konny Lothian and Border)  
Najdroższy Tommy,*

*Od dawien dawna łączy nas wspólne uwielbienie do tego rodzaju rudymenarnych opowieści, znanych wśród Amerykanów pod nazwą „powieści groszowej”, które u nas funkcjonują pod mianem „szokerów” — historii balansujących na granicy możliwego z nieprawdopodobnym. Podupadłszy zeszłej zimy na zdrowiu wyczerpałem cały zapas owych lekarstw na niepogodę ducha i poczułem przymus przyrzadzić jedno z nich samemu. Wynikiem tych starań jest niniejsza krótka opowiadka, którą ze względu na naszą wieloletnią przyjaźń w czasach, gdy rzeczywistość była o wiele bardziej nieprawdopodobna niż najdziksze nawet wymysły, chciałbym zadedykować właśnie Tobie.*

*J. B.*

# 1. Nieboszczyk

Tego majowego popołudnia wróciłem z City około piętnastej, mocno rozczarowany życiem. Byłem w Starym Kraju od trzech miesięcy i miałem go już serdecznie dość. Ledwie rok temu wyśmiałbym każdego, kto próbowałby mi powiedzieć, że tak właśnie się tutaj poczuję, dziś musiałbym przyznać im rację. Pogoda sprawiała, że stałem się opryskliwy, a zwyczajne rozmowy Anglików przyprawiały mnie o mdłości. Doskwierał mi brak ćwiczeń, zaś londyńska oferta rozrywek okazała się równie fascynująca co szklanka z wygazowaną wodą sodową zbyt długo stojąca na słońcu.

— Richardzie Hannayu — powtarzałem sobie w myślach — wpakowałeś się w niezły dół, przyjacielu, i czas najwyższy się z niego wydostać.

Z goryczą rozmyślałem o planach snuty przez ostatnie lata, kiedy mieszkałem w Bulawayo. Udało mi się zgromadzić pewien majątek — nic wielkiego, mnie jednak w zupełności wystarczał i z radością wypatrywałem czekających mnie atrakcji. Ojciec mój, gdy dożyłem sześciu lat, wywiózł mnie ze Szkocji i od tej pory nie widziałem rodzinnej ziemi; Anglia w moich oczach stała się krainą z *Księgi tysiąca i jednej nocy* i liczyłem, że zdołam spędzić tam resztę życia.

Rozczarowanie towarzyszyło mi od samego początku. Minął jakiś tydzień, gdy poczułem się zmęczony podziwianiem widoków, a po niecałym miesiącu obrzydły mi do cna restauracje, teatry oraz wyścigi. Być może działo się tak dlatego, że nie towarzyszył mi żaden kompan. Wielu ludzi zapraszało mnie do siebie w gościnę, ale po zadaniu kilku pytań o życie w Afryce Południowej, tracili mną zainteresowanie i wracali do własnych spraw. Panie z kręgów arystokracji nalegały, bym uczestniczył w herbatkach, którymi podejmowano wydawców z Vancouver lub dyrektora szkoły z Nowej Zelandii. Trudno o bardziej przygnębiające spotkania. I tak oto, lat mając trzydzieści siedem, całkowicie zdrów na ciele oraz umyśle, zabezpieczony finansowo w stopniu wystarczającym, by czerpać radość z życia, całymi dniami ziewałem z nudów. Czując się najbardziej znudzonym człowiekiem w

całym Królestwie, gotów byłem udać się z powrotem na sawannę.

Tego popołudnia, aby zająć czymś umysł, nękałem maklerów dociekaniem w kwestii inwestycji, a wracając do domu, zajrzałem do mojego klubu — czy też raczej pubu — który akceptował członków z kolonii. Osuszyłem pełną szklanicę i przejrzałem popołudniówki. Głównym tematem okazały się w nich wieści z Bliskiego Wschodu, natknąłem się również na artykuł o greckim premierze, Karolidesie. Człęk ów od dłuższego czasu wzbudzał moją sympatię. Wedle wszelkich informacji, to właśnie on pełnił rolę głównego rozgrywającego w tej awanturze, a co ważniejsze — grał czysto, czego nie dało się powiedzieć o jego przeciwnikach. Zdaje się, że w Berlinie i Wiedniu nienawidzono go ze wszystkich sił, my jednak staliśmy twardo po jego stronie, a jedna z gazet twierdziła nawet, że to Karolides jest jedyną szansą Europy na uniknięcie Armagedonu. Pamiętam, że zastanawiałem się, czyby nie znaleźć jakiejś pracy w tych okolicach. Zwłaszcza Albania jawiła mi się jako kraj, który mógłby uwolnić mnie od uporczywego ziewania.

Wróciłem do domu około szóstej wieczorem, przebrałem się i poszedłem zjeść obiad w Cafe Royal, zaglądając później do music-hallu. Głupie przedstawienie, pełne fikających kobiet i małpich grymasów nie zatrzymało na długo mojej uwagi. Wieczór okazał się pogodny i ciepły, wróciłem więc pieszo do mieszkania wynajmowanego przy Portland Place. Po trotuarze sunął tłum zaaferowanych i rozgadanych przechodniów, a ja zazdrościłem ludziom, że potrafią sobie znaleźć zajęcie. Wszyscy ci sprzedawcy, panienki za ladą, dandysi i policjanci mieli jakieś zainteresowania, które trzymały ich przy życiu. Rzuciłem pół korony żebrakowi tylko dlatego, że widziałem jak ziewał; zdał mi się towarzyszem w cierpieniu. Doszedłszy do Oxford Circus, skierowałem wzrok ku wiosennemu niebu i złożyłem przysięgę: jeśli Stary Kraj nie znajdzie mi czegoś ciekawego w ciągu najbliższej doby, wsiadam na następny statek płynący w stronę Cape Town.

Moje mieszkanie mieściło się na piętrze nowego budynku na tyłach Langham Place. Wspólnej klatki schodowej strzegli portier z windziarzem, w budynku nie urządzono żadnej restauracji ani niczego w tym stylu, do każdego z mieszkań wiodło osobne wejście. Nie znosiłem mieszkać ze służbą pod jednym dachem, dlatego też zatrudniłem chłopaka, który każdego dnia między ósmą rano i siódmą wieczorem

doglądał moich potrzeb, po czym wracał do siebie, a ja wychodziłem coś zjeść na miasto.

Wsuwałem właśnie klucz do zamka, kiedy tuż przy mnie zatrzymał się jakiś mężczyzna. Nie słyszałam, jak nadchodził, więc jego obecność mnie zaskoczyła. Szczupły człowiek z krótką szpakowatą bródką spoglądał na mnie przenikliwie niebieskimi oczami. Rozpoznałem w nim lokatora górnego piętra; minęliśmy się kilka razy na schodach.

— Mogę z panem porozmawiać? — zapytał. — Zechciałby mnie pan wpuścić na minutę?

Po głosie dało się poznać, że nerwy ma napięte jak postronki, a jego dłoń wpijała się w moje ramię. Otwarłem drzwi i zaprosiłem go do środka. Ledwie przekroczył próg, gdy rzucił się pędem do pokoju na tyłach, gdzie zwykłem oddawać się paleniu i pisaniu listów. Chwilę później znów stał przy mnie.

— Zamknął pan drzwi? — Sprawdził gorączkowo i dodatkowo założył łańcuch. — Proszę mi wybaczyć — spokorniał nagle. — Być może na zbyt wiele sobie pozwalam, ale wydał mi się pan człowiekiem zdolnym zrozumieć moją sytuację. Od kiedy tydzień temu sprawy przybrały niepomysłny obrót, wciąż o panu myślę. Wyświadczy mi pan przysługę?

— Wysłucham pana — odparłem. — Tyle mogę obiecać.

Dziwaczne zachowanie nerwowego człowieczka zaczynało mnie niepokoić.

Tuż obok niego, na stoliku, stała taca z trunkami. Nalał sobie whisky, dopełnił sodą, osuszył szklaneczkę w trzech łykach i z trzaskiem odstawił szkło na miejsce.

— Przepraszam — odezwał się. — Jestem dziś odrobinę poruszony. Musi pan zrozumieć, że ma przed sobą nieboszczyka.

Usiadłem w fotelu i zapaliłem fajkę.

— I jak się pan z tym czuje? — zapytałem, coraz bardziej przekonany, że mam do czynienia z szaleńcem.

Na jego wymizerowanej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

— Proszę mi wierzyć, że nie oszalałem. Jeszcze... Jak już mówiłem, obserwowałem pana od pewnego czasu i wydał mi się pan opanowanym jegomościem. Odnoszę również wrażenie, że jest pan człowiekiem uczciwym i nie lęka się ryzyka. Zamierzam panu zaufać. Proszę mi

wierzyć, że jeszcze nikt nigdy nie znajdował się w tak wielkiej potrzebie. Muszę wiedzieć, czy mogę na pana liczyć.

— Proszę przejść do rzeczy — ponagliłem. — Wtedy panu odpowiem.

Przez chwilę dało się dostrzec, że zbiera się w sobie, jakby szykował się do wysiłku ponad siły, wreszcie rozpoczął snuć dziwną, zagmatwaną opowieść. Z początku niewiele z niej pojmowałem, przerywałem mu więc pytaniami. To, czego się dowiedziałem, wyglądało mniej więcej tak:

Mój rozmówca był Amerykaninem, pochodził z Kentucky, a po ukończeniu studiów, jako człowiek dość majątny, wyruszył w podróż, by zobaczyć trochę świata. Od czasu do czasu parał się pisaniem, jedna z chicagowskich gazet zatrudniła go jako korespondenta wojennego, a jakiś rok czy dwa przyszło mu spędzić w południowo-wschodniej Europie. Z tego, co zrozumiałem, miał talent do języków i doskonale orientował się wśród elit tamtego regionu. Sposób, w jaki wymieniał nazwiska znane mi tylko z gazet, świadczył o pewnej z nimi zażyłości.

Opowiadał, że ku polityce z początku pchnęła go ciekawość, szybko jednak wpadł po uszy. Patrząc nań, widziałem bystrego, energicznego człowieka, który zawsze dąży do odkrycia istoty rzeczy. Udało mu się odkryć więcej, niż zamierzał.

Powtarzam to, co usłyszałem od niego i co zrozumiałem. Za plecami rządów i armii działa olbrzymia sekretna organizacja, nad którą władzę sprawują niezwykle niebezpieczni ludzie. Przez przypadek trafił na jej ślad, fascynacja zaś sprawiła, że podążył tym tropem, aż wreszcie został przyłapany. Pojąłem, że ludzie związani z tą organizacją są wyedukowanymi anarchistami, których celem jest wywoływanie rewolucji, niemniej za ich plecami stoją żądni bogactw finansisci. Obrotni ludzie potrafią osiągać kolosalne zyski na upadających rynkach, dlatego też rozdarcie Europy na strzępy było na rękę obu grupom.

Wyjaśnił mi wiele zawiłości dotyczących wojny bałkańskiej, których dotychczas nie potrafiłem rozgryźć. Dowiedziałem się, w jaki sposób jeden z krajów nagle zyskał przewagę, dlaczego zawiązywano i zrywano kolejne sojusze, czemu niektórzy ludzie musieli zniknąć oraz skąd brały się środki na prowadzenie działań wojennych. Cała ta konspiracja miała sprawić, by Rosja i Niemcy wzięły się za łby.



Kiedy spytałem, w jakim celu, odparł, że anarchiści upatrywali w tym wielką szansę dla siebie. Z kotła, w jaki wpadłaby Europa, wynurzyłby się całkiem nowy świat. Kapitaliści kąpaliby się w szeklach, zbijając fortuny na wykupywaniu ruin. Pieniądz, dodał, nie ma przecież sumienia ani ojczyzny. Za wszystkim zresztą i tak stali Żydzi, nienawidzący Rosji ze wszystkich sił.

— Dziwi się pan?! — krzyknął. — Prześladowano ich przez trzy stulecia, a to jest zemsta za pogromy. Żydzi czają się wszędzie, ale wypatrywać ich należy w najgłębszym cieniu. Dość spojrzeć na jakąkolwiek germańską spółkę biznesową. Z początku kierują pana do księcia von und zu Cośtam, eleganckiego młodzieńca posługującego się nienaganną angielszczyzną wyższych sfer. Ale on nie ma żadnego znaczenia. Jeśli wnosi pan odpowiednio wyższy kapitał, trafia pan poziom wyżej, do Westfalczyka ze szczęką jak szuflada, krzaczastymi brwiami i taktem wieprzka. To typowy niemiecki finansista, który skrupulatnie rozdrapie pańskie angielskie umowy. Gdy jednak przychodzi pan do nich z czymś naprawdę wielkim, co wymaga uwagi najważniejszego z szefów, można stawiać dziesięć do jednego, że czeka pana rozmowa z malutkim, bladym Żydem, który ze swojego zydelka będzie przewiercał pana wężowym wzrokiem. Tak właśnie, mój panie, wygląda człowiek, który w tej chwili rządzi światem i trzyma nóż na gardle carskiego imperium, ponieważ w jakimś siole nad Wołgą sponiewierano jego ciotkę i wychłostano ojca.

Nie mogłem się powstrzymać i zauważyłem, że ci żydowscy anarchiści wyglądają na nieco zacofanych.

— I tak i nie — odparł mężczyzna. — Do pewnego stopnia udało im się zwyciężyć, ale natknęli się na rzecz silniejszą od pieniędzy, na coś, czego nie da się kupić: odwieczną, instynktowną u ludzi wolę walki. Jeśli komuś pisana jest śmierć, wymyśla sobie jakiś kraj i flagę, za które gotów jest walczyć, a gdy uda mu się przetrwać, zaczyna je prawdziwie kochać. Ogłupiali żołnierze znaleźli coś, na czym zaczęło im zależeć, wprowadzając tym samym zamieszanie w precyzyjne plany snute przez Berlin i Wiedeń. Oczywiście moi przyjaciele nie wyłożyli jeszcze wszystkich kart na stół. Wciąż trzymają asa w rękawie i sięgną po niego, jeśli nie uda mi się przeżyć kolejnego miesiąca.

— Wydawało mi się, że jest pan nieboszczykiem — przypomniałem.

— *Mors ianua vitae* — odrzekł z uśmiechem. (Powierzchnowa znajomość łaciny pozwoliła mi rozpoznać cytat). — Zaraz do tego dojdę, najpierw muszę wyjaśnić kilka rzeczy. Zaglądając do gazet, zetknął się pan zapewne z nazwiskiem Konstantinosa Karolidesa?

Wyprostowałem się w fotelu. Czytałem o nim nie dalej niż dzisiejszego popołudnia.

— To właśnie człowiek, który popsuł im szyki. Jedyna rozumna osoba w tym całym przedstawieniu, a na dodatek na wskroś uczciwa. Przez ostatni rok polowano na niego bez ustanku. Udało mi się to odkryć — to żadna zasługa, każdy głupiec mógłby się tego domyślić — ważniejsze jednak jest to, że wiem, w jaki sposób chcą go dopaść. To właśnie z powodu tej śmiercionośnej wiedzy musiałem umrzeć.

Nalał sobie kolejnego drinka, a ja poszedłem w jego ślady, zaciekawiony opowieścią tego biedaka.

— W ojczyźnie strzegą go gwardziści z Epiru, zdolni do obdarcia ze skóry własnej babki. Ale piętnastego czerwca zobaczymy go w tym mieście. Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych lubuje się w wyprawianiu międzynarodowych fajfokłoków, a teraz ma mieć miejsce największy z nich. Karolides ma pełnić rolę najważniejszego gościa i jeśli moi przyjaciele zrealizują swój plan, nigdy już nie powróci do czekających na niego w uwielbieniu rodaków.

— To przecież proste — zauważyłem. — Wystarczy go ostrzec, by nie ruszał się z domu.

— I przyjął narzucone przez nich reguły gry? — oburzył się. — Jeśli zrezygnuje z podróży, oni zwyciężą. To jedyny człowiek, który może rozwikłać tę płataninę. Gdyby ostrzec grecki rząd, na pewno się tu nie zjawi, nie ma bowiem pojęcia, o jak wielką stawkę będzie toczyła się gra podczas czerwcowego spotkania.

— A co władzami brytyjskimi? — zapytałem. — Nie zezwolą chyba, by mordowano ich gości? Trzeba ich powiadomić, a na pewno przedsięwzją szczególne środki ostrożności.

— To też nic nie da. Mogą wypuścić na miasto całą hordeę tajniaków i podwoić liczbę mundurowych, a Konstantinos i tak zginie. Moi przyjaciele nie bawią się w ciuciubabkę. Czekają tylko, aż oczy całej Europy zwrócą się w tę stronę. Karolides zginie z ręki Austriaka i znajdzie się mnóstwo dowodów wskazujących na mocodawców w

Wiedniu i Berlinie. Nic z tego oczywiście nie będzie prawdą, ale świat i tak uwierzy. Nie wyssałem sobie tego z palca, przyjacielu. Znam każdy szczegół tej piekielnej intrygi i muszę wyznać, że od czasu Borgiów nie było tak perfekcyjnie zaplanowanego spisku. Uda się to powstrzymać wyłącznie wtedy, gdy piętnastego czerwca znajdzie się w Londynie konkretny i żywy człowiek, zorientowany w tych wszystkich zawiłościach. Czyli ja — pański uniżony sługa, Franklin P. Scudder.

Zaczynałem lubić tego konusa. Miał zaciśnięte szczęki, a w jego niebieskich oczach płonął ogień walki. Jeśli próbował mnie nabrać, musiał być doskonałym aktorem.

— W jaki sposób się pan o tym wszystkim dowiedział? — dociekałem.

— Na pierwszą wskazówkę natknąłem się w gospodzie nad tyrolskim Achensee. Zaciekawiony ruszyłem tym tropem, odkrywając kolejny ślad w sklepie futrzarskim, mieszczącym się w chrześcijańskiej dzielnicy Budy, później trafiłem do wiedeńskiego Klubu Cudzoziemskiego oraz niewielkiej księgarenki przy Racknitzstrasse w Lipsku. Dziesięć dni temu w Paryżu odnalazłem ostateczne potwierdzenie, nie czas teraz jednak zapuszczać się w szczegóły tej historii. Kiedy uzyskałem całkowitą pewność, uznałem, że muszę zniknąć. Dotarłem tutaj dzięki potężnej sieci złożonych powiązań. Opuściłem Paryż udając młodego dandysa o francusko-amerykańskich korzeniach, z Hamburga zaś odpłynąłem, wcieliwszy się w żydowskiego handlarza diamentów. W Norwegii podałem się za angielskiego badacza twórczości Ibsena, gromadzącego materiały do wykładów, a wyjeżdżając z Bergen byłem już filmowcem, specjalistą od filmów o narciarstwie. Z Leith przywiozłem ze sobą próbki masy papierowej, które zamierzałem zaoferować londyńskim wydawcom gazet. Aż do wczoraj miałem pewność, że szczęście mnie nie opuszcza i udało mi się zatrzeć za sobą ślady. I wtedy...

Wspomnienie wyraźnie go poruszyło, bo ponownie upił whisky.

— Zobaczyłem człowieka stojącego na ulicy przed domem. Zwykle całymi dniami nie opuszczałem pokoju i dopiero po zmierzchu wymykałem się na jakąś godzinę czy dwie. Przez chwilę obserwowałem go z okna i odniosłem wrażenie, że już go gdzieś widziałem... Później wszedł do środka i rozmawiał z portierem. Wracając z wczorajszej

wieczornej przechadzki, znalazłem w swojej skrzynce pocztówkę. Podpisał ją człowiek, którego za nic w świecie nie chciałbym teraz spotkać.

Wydaje mi się, że wyraz szczerego przerażenia, jaki pojawił się na jego twarzy, pozwolił mi się wyzbyć resztek nieufności. Ponagliłem go, by kontynuował opowieść.

— Uświadomiłem sobie, że jestem spalony i pozostało mi jedno rozwiązanie. Umrzeć. Gdyby w to uwierzyli, uspiłbym ich czujność.

— W jaki sposób się to panu udało?

— Powiedziałem służącemu, że fatalnie się czuję i postarałem się wyglądać jak chodząca śmierć. Proszę pamiętać, że jestem specjalistą od przebrań, nie wymagało to więc ode mnie zbyt dużego wysiłku. Później zdobyłem ciało. W Londynie nie sprawia to najmniejszych trudności, jeśli tylko się wie, gdzie pytać. Włożyłem je na powrót do trumny, odwiozłem pod dom na dachu dylizansu, po czym z pomocą woźnicy wtargałem do swojego pokoju. Musiałem naszykować dowody, rozumie pan. Wróciłem do łóżka i poleciłem służącemu przygotować środki nasenne, po czym kazałem mu się wynosić. Nalegał, by sprowadzić lekarza, ale obrzuciłem go przekleństwami i powiedziałem, że nie zniosę pijawek. Po jego wyjściu zabrałem się za przygotowanie ciała. Nieboszczyk był mojego wzrostu i domyśliłem się, że zmarł z przepicia, więc porozstawiałem w mieszkaniu różne napitki. Ale kształt jego szczęki nijak nie pasował do rysów mojej twarzy, odstrzeliłem mu ją więc z rewolweru. Jutro zapewne znajdą się tacy, którzy przysięgną, że słyszeli strzał, mimo że na moim piętrze nie mam żadnych sąsiadów, uznałem więc, że mogę zaryzykować. Założyłem trupowi moją piżamę i ułożyłem go na łóżku, zostawiając w pobliżu rewolwer i spory bałagan. Przebrałem się w przygotowane wcześniej ubrania, nie odważyłem się jednak ogolić ze strachu, że pozostawię jakieś ślady. Zresztą wymkniecie się na ulicę nie miało większego sensu. Cały dzień myślałem o panu i nie pozostało mi nic innego, jak się z panem skontaktować. Wyglądałem przez okno, czekając pańskiego powrotu i zszedłem natychmiast, gdy się pan pojawił... Myślę, że teraz wie pan już o tej sprawie tyle samo co ja.

Siedział, mrugając niczym sowa, jednocześnie podenerwowany i pełen determinacji. Na tym etapie byłem skłonny wierzyć w szczerść jego słów. Historia brzmiała jak czyste szaleństwo, niemniej w swoim

czasie nasłuchiwałem się już zwariowanych opowieści, które okazywały się prawdziwe, zwykłem również oceniać przede wszystkim opowiadającego, a nie to, co opowiada. Gdyby zależało mu tylko na tym, by wdrzeć się do mojego mieszkania i poderżnąć mi gardło, z pewnością znalazłby mniej skomplikowaną wymówkę.

— Proszę o klucz do pańskiego mieszkania. Rzucę okiem na ciało — powiedziałem. — Wybacz mi pan tę ostrożność, ale jeśli mam taką możliwość, staram się sprawdzać informacje.

Mężczyzna ze smutkiem pokręcił głową.

— Spodziewałem się tej prośby, ale niestety nie mam klucza. Musiałem go zostawić przypiętego do innych, leżą na toalecie. Nie chciałem wzbudzać podejrzeń. Ścigający mnie jegomoście są nadzwyczaj bystroocy. Tej nocy musi mi pan zaufać, a jutro przedstawię panu wystarczające dowody na istnienie ciała.

Przez jakąś chwilę czy dwie zastanawiałem się nad odpowiedzią.

— W porządku — odparłem wreszcie. — Zaufam panu dzisiejszej nocy. Zamknę pana w tym pokoju i wezmę klucz. Jedno jednak muszę wyznać, panie Scudder. Wierzę, że mówi pan prawdę, ale jeśli okaże się, że nie, to ostrzegam, że całkiem dobrze radzę sobie z bronią.

— Oczywiście. — Scudder z nagłą energią zerwał się z krzesła. — Nie miałem jeszcze przyjemności poznać pańskiego nazwiska, ale przyznam, że porządny z pana człowiek. Będę niezwykle zobowiązany, gdyby zechciał pan pożyczyć mi brzytwę.

Zaprowadziłem go do sypialni i pozostawiłem samemu sobie. Gdy wynurzył się z niej pół godziny później, rozpoznałem go z wielkim trudem. Nie zmieniło się tylko przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu. Miał gładko ogolone policzki, włosy rozdzielił pośrodku przedziałkiem, przystrzygł również brwi. Co ważniejsze, przybrał również sztywną, wojskową postawę, a dzięki swojej smagłej cerze bez najmniejszego trudu mógł uchodzić za brytyjskiego oficera, który wrócił z długiej służby w Indiach. W jego oku błyszczał monokl, pozbył się także wszelkich śladów amerykańskiego akcentu.

— A niech mnie, panie Scudder...! — sapnąłem zdumiony.

— Już nie Scudder — poprawił mnie. — Kapitan Theophilus Digby z czterdziestego pułku Gurków, aktualnie na przepustce. Będę wdzięczny jeśli uda się to panu zapamiętać, sir.

Przygotowałem mu poślanie w palarni i wróciłem na swoją kanapę o wiele bardziej podekscytowany, niż byłem przez ostatnich kilka miesięcy. Nawet w tej zapomnianej przez Boga metropolii coś się jednak czasem działo.

Następnego ranka zbudził mnie rumor, którego źródłem okazał się Paddock, mój przyboczny, dobijający się do drzwi palarni. Swego czasu pomogłem mu wydostać się z Selakwe i zabrałem ze sobą do Anglii, zatrudniając w charakterze kamerdynera. Był równie rozgarnięty co hipopotam, i niezbyt nadawał się do tej pracy, ale zawsze mogłem liczyć na jego lojalność.

— Przestań tak walić — poprosiłem. — Odwiedził mnie znajomy kapitan... — Nie potrafiłem sobie przypomnieć jego nazwiska — Kapitan uciął sobie drzemkę. Przygotuj dwa nakrycia do śniadania i wróć tutaj.

Zmyśliłem dla niego zgrabną historyjkę o moim przyjacielu, który zszargał sobie nerwy z przepracowania, a teraz potrzebował absolutnego spokoju i wypoczynku. Nikt nie powinien się dowiedzieć o jego obecności, w przeciwnym razie natychmiast zostanie osaczony przez pośłańców z biura Kompanii Indyjskiej i kancelarii premiera, którzy zrujnują mu zdrowie.

Muszę wyznać, że przy śniadaniu Scudder dał prawdziwy popis. Zmierzył Paddocka spojrzeniem zza monokla, tak jak zrobiłby to najprawdziwszy brytyjski oficer, zadał kilka pytań o wojnę burską i zarzucił mnie anegdotkami z życia naszych wspólnych, wyobrażonych znajomych. Choć nigdy nie potrafiłem nakłonić Paddocka, by zwracał się do mnie „sir”, kamerdyner częstował teraz tym tytułem Scuddera tak często, jakby jego pominięcie miało go kosztować głowę.

Zostawiłem mojego gościa z poranną gazetą oraz zapasem cygar i aż do lunchu kręciłem się po City. Po powrocie powitała mnie ponura twarz windziarza.

— Straszny raban od rana, psze pana — oznajmił z powagą. — Facet spod piętnastki wziął i się zastrzelił. Właśnie go odwieźli do trupiarni. Gliny tam się teraz kręcą.

Ruszyłem do mieszkania numer piętnaście, gdzie natknąłem się na dwóch mundurowych i inspektora, zajętych gromadzeniem śladów. Zadałem kilka głupich pytań i szybko kazano mi zmiatać. Wychodząc, natknąłem się na sługę Scuddera i pociągnąłem go za język, okazało się

jednak, że nie ma o niczym pojęcia. Był zwykłym, zahukanym chłopakiem o twarzy kościelnego, a pół korony wystarczyło aż nadto, by pocieszyć go po stracie pana.

Następnego dnia również śledziłem postępy dochodzenia. Jeden z londyńskich wydawców potwierdził, że denat odwiedził go wcześniej i — przedstawiając się jako przedstawiciel amerykańskiej firmy — proponował mu zakup masy papierowej. Sprawę jednogłośnie uznano za samobójstwo, a kilka rzeczy pozostałych w mieszkaniu przekazano amerykańskiemu konsulatowi. Scudder z olbrzymim zainteresowaniem wysłuchał mojej relacji i żałował, że sam nie może uczestniczyć w śledztwie. Jego zdaniem byłoby to równie absurdalne co przeczytanie własnego nekrologu.

Przez pierwsze dwa dni naszej znajomości zachowywał się bardzo spokojnie, pomieszkując w pokoju na tyłach. Czytał, palił, zapełniał uwagami kolejne strony notesu, a wieczorem siadaliśmy do szachów. Za każdym razem rozkładał mnie na łopatki. Odnosiłem wrażenie, że jego nerwy wracają do normy. Ale trzeciego dnia stał się nagle bardzo niespokojny. Na specjalnej liście czerwonym atramentem odhaczał każdy dzień dzielący nas od piętnastego czerwca i robił tam zwięzłe notatki. Znajdowałem go czasem zatopionego w głębokich rozmyśleniach, jego bystre spojrzenie stawało się wtedy nieobecne, a każdy taki okres medytacji kończył się nieodmiennie atakiem przygnębienia.

Widziałem, że staje się coraz bardziej rozdrażniony. Wciąż nasłuchiwał najmniejszych nawet hałasów i nie przestawał dopytywać, czy Paddock jest godzien naszego zaufania. Bywał opryskliwy, po czym za to przeproszał. Wiedząc, jak ciężkiego podjął się zadania, starałem się go nie obwiniać. Za nic miał swoje bezpieczeństwo, bał się jedynie o powodzenie własnego planu. Trudno było znaleźć w tym ulepionym z twardej gliny człowieku choć jeden słaby punkt. Pewnego wieczoru odezwał się do mnie z niezwykłą powagą.

— Proszę posłuchać, panie Hannay — rozpoczął. — Chciałbym pana wtajemniczyć nieco głębiej w sekrety tej organizacji. Nie chciałbym odchodzić ze świadomością, że nikt nie będzie w stanie podjąć tej walki.

Po tych słowach zaczął mi zdradzać szczegóły wszystkiego, o czym dotychczas dopiero jedynie napomknął. Nie przysłuchiwałem mu się zbyt uważnie, ponieważ w gruncie rzeczy o wiele bardziej intrygowały

mnie jego przygody niż koneksje polityczne. Uznałem, że sprawa Karolidesa nie leży w gestii moich zainteresowań i złożyłem ją w całości na barkach Scuddera. Większość z tego, co mi opowiedział, nie zapisało się w mojej pamięci. Zarejestrowałem tylko tyle, że zagrożenie dla premiera nadejdzie dopiero z chwilą jego pojawienia się pośród wyższych londyńskich sfer, gdzie nikt niczego się nie spodziewa. Mój gość wspomniał również o kobiecie — Julii Czeczenii — która miała jakiś związek z nadciągającymi wypadkami. Zrozumiałem, że przypadła jej rola przynęty: miała odciągnąć Karolidesa od ochroniarzy. Wspomniał również o jakimś Czarnym Kamieniu i sepleniącym mężczyźnie, a kiedy opisywał mi pewnego specyficznego osobnika — starca o młodzieńczym głosie i jastrzębim spojrzeniu — widać było, że za każdym razem wzdraga się z przerażenia.

Wielokrotnie wspominał także o śmierci. Nie bał się jej, oddałby życie za powodzenie planu.

— Wyobrażam sobie, że będzie to niczym złożenie się do snu po długim męczącym dniu i przebudzenie o letnim poranku, wypełnionym wpadającą przez okno wonią świeżego siana. U nas, w krainie traw, zwykłem dziękować Bogu za takie pobudki i zgaduję, że tak samo będę mu wdzięczny, gdy znajdę się na drugim brzegu Jordanu.

Następnego ranka znalazłem go w o wiele pogodniejszym nastroju. Przez większość czasu zagłębiał się w lekturze biografii Stonewalla Jacksona. Wyszedłem na kolację, podczas której omawiałem interesy z pewnym inżynierem górnictwa i wróciłem do domu o wpół do dziesiątej, w sam raz na wieczorną partyjkę szachów.

Pamiętam, że wchodząc do palarni, trzymałem w ustach cygaro. Zaskoczyły mnie ciemności panujące w pomieszczeniu. Czyżby Scudder położył się już spać? Zapaliłem światło, ale palarnia okazała się pusta. Chwilę później spojrzałem w róg pokoju i poczułem strużkę zimnego potu, a cygaro wypadło mi z ust. Mój gość leżał na plecach, a w jego piersi tkwił długi sztylet, którego czubek utkwiał w podłodze.



## 2. Uciekający mleczarz

Osunąłem się na fotel, zmagając się z nagłym atakiem mdłości. Trwał nie dłużej niż pięć minut, po czym poczułem gwałtowny wzrost przerażenia. Nie potrafiąc znieść widoku pobladłej twarzy wpatrującej się we mnie z podłogi, zebrałem się w sobie i nakryłem Scuddera obrusem. Dowlokłem się jakoś do barku i nalałem sobie kilka solidnych łyków brandy. Widywałem już ludzi, którzy zginęli gwałtowną śmiercią, w rzeczy samej w trakcie wojny z ludem Matabele sam kilku wyprawilem na tamten świat, ale popełnione z zimną krwią morderstwo to zupełnie inna sprawa. Udało mi się jednak jakoś wziąć w garść. Kiedy spojrzałem na zegarek, dochodziło wpół do jedenastej.

Tknięty nagłym domysłem, przeczesałem dokładnie mieszkanie. Nikt się w nim nie ukrywał i nie natknąłem się na żadne ślady, mimo to skrupulatnie pozamykałem wszystkie okna i zabezpieczyłem drzwi łańcuchem. Do tego czasu zdołałem się uspokoić i odzyskać zdolność rozumowania. Przez jakąś godzinę rozmyślałem nad tym, co tutaj się stało. Nie musiałem się spieszyć — o ile morderca nie zdecyduje się wrócić, miałem czas zastanawiać się nad rozwiązaniem tej sytuacji aż do szóstej rano.

To oczywiste, że wpadłem po uszy. Nie mogłem już dłużej wątpić w prawdziwość historii Scuddera. Najważniejszy dowód leżał przede mną, nakryty obrusem. Ludzie, którzy domyślali się tego, co wiedział, znaleźli najlepszy sposób, by go uciszyć. Oznaczało to, że jego wrogowie musieli zdawać sobie sprawę, że od czterech dni przebywał w moim mieszkaniu i że obdarzył mnie zaufaniem. Być może pojawią się tu jeszcze dziś, może jutro lub pojutrze, ale nie łudziłem się: moje dni są policzone.

Nagle wyobraziłem sobie inną możliwość. Załóżmy, że wymknąłbym się teraz z mieszkania i wezwał policję albo wróciłbym do łóżka, pozwalając, by to Paddock natknął się rano na ciało. Jak miałbym wyjaśnić obecność Scuddera? W końcu nazmyślałem już o nim służącemu i cała sprawa wyglądała podejrzanie. Gdybym postanowił opowiedzieć wszystko, co przekazał mi nieboszczyk, policja bez wątplenia by mnie wyśmiała. Istniała jedna szansa na tysiąc, że nie

oskarżą mnie o morderstwo; poszlaki były wszak wystarczająco silne, by zaprowadzić mnie na stryczek. W Anglii znało mnie zaledwie parę osób, nie miałem tu żadnego prawdziwego towarzysza, który mógłby zaświadczyć o mojej reputacji. Być może właśnie na to liczyli moi anonimowi wrogowie. Wiedziałem, że są sprytni i zdolni do wszystkiego, a wpakowanie mnie do więzienia przed piętnastym czerwca odniosłoby ten sam skutek, co dźgnięcie mnie nożem.

Zresztą, nawet gdyby jakimś cudem ktoś uwierzył w moją opowieść, wciąż gralibyśmy w ich grę. Karolides musiałby zrezygnować z wizyty, a na tym im przecież zależało. Widok martwej twarzy Scuddera sprawił, że ze wszystkich sił uwierzyłem w jego plan. Zaufał mi przed śmiercią i poczułem gotowość, aby dokończyć jego robotę.

Biorąc pod uwagę, jak wielkie groziło mi niebezpieczeństwo, może zdać się to szalonym wyborem, ale taki już mój charakter. Jestem zupełnie przeciętnym mężczyzną, wcale nie dzielniejszym niż inni, ale nienawidzę, gdy umierają uczciwi ludzie, więc skoro mogłem włączyć się do tej gry, postanowiłem nie dopuścić, by nóż w piersi Scuddera okazał się końcem jego planów.

Dojście do tego wniosku zajęło mi jakąś godzinę lub dwie. Ostatecznie zdecydowałem, że muszę zniknąć aż do połowy czerwca. Potem powinienem jakoś się skontaktować z przedstawicielami rządu i przekazać im to, co powiedział mi Scudder. Żałowałem, że nie chciałem go słuchać, gdy udzielał mi tych wszystkich skąpych informacji. Znałem jedynie podstawowe fakty. Istniało olbrzymie ryzyko, że nawet jeśli uda mi się uniknąć niebezpieczeństwa, to i tak nikt nie uwierzy w moją opowieść. Musiałem podjąć to ryzyko, licząc, że uda mi się znaleźć jakieś dowody na jej prawdziwość.

Ale najpierw należało przetrwać kolejne trzy tygodnie. Był dwudziesty czwarty maja, co oznaczało, że zanim nawiążę kontakt z władzami, będę się ukrywać przez dwadzieścia dni. Moim tropem ruszą zapewne dwie grupy — spiskowcy, którzy chcą pozbawić mnie życia, oraz policja poszukująca zabójcy Scuddera. Zapowiadało się szaleńcze polowanie, ale myśl o tym sprowadzała na mnie dziwny spokój. Od tak dawna wiodłem próżniaczy żywot, że z radością witałem każdą szansę na przygodę. Gdybym siedział nad ciałem i zdawał się na kolejne kaprysy losu, nie różniłbym się niczym od rozdeptanego robaka, skoro jednak

własne bezpieczeństwo zależało od mojego sprytu, zamierzałem podejść do tego z uśmiechem.

Przyszło mi do głowy, że powinienem sprawdzić, czy Scudder nie miał przy sobie jakichś dokumentów, które mogłyby mi podsunąć dalsze wskazówki. Uniosłem obrus i przeszukałem kieszenie nieboszczyka; tym razem obyło się bez ataku mdłości. Jak na kogoś, kto został zabity z zaskoczenia, miał niezwykle błogi wyraz twarzy. Butonierka okazała się pusta, a w kamizelce znalazłem tylko parę miedziaków i lufkę do cygar. Kieszenie spodni skrywały niewielki scyzoryk oraz kilka srebrnych monet, a w wewnętrznej kieszeni marynarki natknąłem się na starą papierośnicę z krokodylej skóry. Po czarnym notesie, w którym tak często robił notatki, nie pozostał ślad. Bez wątpienia musiał paść łupem mordercy.

Podnosząc głowę znad zwłok zauważyłem kilka otwartych szuflad w biurku. Scudder był zbyt schludny, by zostawić je w takim stanie. Widocznie ktoś w nich grzebał, zapewne poszukując notesu.

Ponownie rozejrzałem się po mieszkaniu, odkrywając, że zostało gruntownie przeszukane — zaglądan do książek stojących na regałach, sprawdzono szuflady, szafki i skrzynie, grzebano nawet w kieszeniach moich ubrań wiszących w garderobie, otwierano też kredens w jadalni. Notes zniknął. Najpewniej zabójca go zabrał, choć nie znalazł notatnika przy zwłokach Scuddera.

W końcu sięgnąłem po atlas i rozłożyłem przed sobą dużą mapę Wysp Brytyjskich. Zamierzałem umknąć w jakąś dzicz, gdzie mógłbym wykorzystać swoje umiejętności przetrwania w buszu. W mieście czułbym się jak szczur zapędzony w róg klatki. Uznałem, że najlepiej do tego celu nada się Szkocja, ponieważ jako potomek Szkotów śmiało mogłem uchodzić za zwyczajnego mieszkańca tych ziem. Z początku chodziło mi po głowie, by podawać się za Niemca, znałem bowiem perfekcyjnie ten język, w dzieciństwie obracając się wśród niemieckojęzycznych współników mojego ojca, by nie wspomnieć o trzech latach spędzonych na poszukiwaniu miedzi w niemieckim bantustanie Damaralandu. Jako Szkot wzbudzę jednak mniej podejrzeń i nie zostawię aż tak wyraźnego tropu, gdyby policja zaczęła grzebać w mojej przeszłości. Na najlepsze miejsce ucieczki wytypowałem Galloway. Wyglądało na to, że jest to najdziksza część Szkocji, a mapa

podpowiadała, że okolice nie należą do gęsto zaludnionych.

Dzięki podręcznemu rozkładowi jazdy Bradshawa dowiedziałem się, że o 7.10 ze stacji St. Pancras wyrusza pociąg, który dowiezie mnie późnym popołudniem do każdej stacji w okręgu Galloway. To mi wystarczało, musiałem jednak rozwikłać ważniejszy problem: jak dostać się na dworzec. Byłem pewien, że prześladowcy Scuddera będą na mnie czekać pod domem. Trochę mnie to martwiło, ale pod wpływem nagłego natchnienia położyłem się do łóżka i przespałem dwie niespokojne godziny.

Zbudziłem się o czwartej nad ranem i uchyliłem okiennice w sypialni. Na niebie pojawiły się pierwsze smugi światła, zapowiadając ładny letni poranek, a wróble już rozpoczęły swoją paplaninę. Nagle opadły mnie olbrzymie wątpliwości i poczułem się jak ostatni głupiec. Może powinienem pozwolić, by sprawy toczyły się własnym torem i zaufać, że policja da wiarę moim słowom? Rozważyłem jednak krok po kroku swoją sytuację i nie znalazłem żadnych argumentów, które podważyłyby zasadność podjętej nocą decyzji, więc postanowiłem kontynuować ów plan. Nie czułem z tego powodu szczególnego podekscytowania, starałem się po prostu uniknąć większych kłopotów, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Wygrzebałem z garderoby znoszony tweedowy garnitur, solidnie podkute buty i flanelową koszulę z kołnierzem. W torbie i po kieszeniach zapasową koszulę, kaszkiet, chusteczki i szczoteczkę do zębów. Dwa dni wcześniej, spodziewając się, że Scudder może potrzebować pieniędzy, podjąłem z banku sporą sumę w złocie. Część z nich — pięćdziesiąt suwerenów — ukryłem teraz w specjalnym pasie, który przywiozłem z Rodezji. To powinno wystarczyć. Wykąpałem się i przyciąłem sumiasty wąs, zostawiając pod nosem krótką szczecinę.

Nadszedł czas na podjęcie kolejnego kroku. Paddock zjawiał się zazwyczaj około wpół do ósmej i otwierał drzwi własnym kluczem. Wiedziałem jednak — a wiedzę tę okupiłem gorzkim doświadczeniem — że za dwadzieścia siódma wpadnie mleczarz i z olbrzymim rumorem zacznie rozstawiać butelki. Widywałem go czasem, gdy wybierałem się na przejażdżki o świcie. Był młodym człowiekiem, mniej więcej mojego wzrostu, miał rachityczny wąsik i nosił biały firmowy kombinezon. To właśnie w nim pokładałem swoje nadzieje.

Wszedłem do palarni. Półmrok rozpraszały pierwsze promienie rannego światła, wpełzające przez okiennice. Nalałem sobie odrobinę whisky z sodą na śniadanie i zagryzłem herbatnikami znalezionymi w szafce. Dochodziła szósta. Schowałem fajkę do kieszeni i zacząłem napełniać kapciuch tytoniem ze słoja stojącego przy kominku.

Kiedy zanurzyłem palce nieco głębiej w susz, natrafiłem na coś twardego. Wyjąłem czarny notesik Scuddera.

Uznałem to za dobry znak. Uniosłem skraj obrusa i raz jeszcze spojrzałem na zadziwiająco spokojną i szlachetną twarz nieboszczyka.

— Żegnaj, stary druho — szepnąłem. — Zrobię, co tylko mogę. Gdziekolwiek teraz jesteś, życz mi powodzenia.

Chwilę później zacząłem się w korytarzu na mleczarza. Jako że bałem się wyściubić nos z mieszkania, była to najtrudniejsza część planu. Minęło wpół do siódmej, nadeszła szósta czterdzieści, a mleczarz wciąż się nie pojawiał. Że też ten głupiec akurat dzisiaj musiał się spóźnić!

Dopiero czternaście minut przed siódmą usłyszałem znajome pobrzękiwanie butelek. Otwarłem drzwi i ujrzałem przed sobą mleczarza, który pogwizdując przez zęby stawiał butelki na korytarzu. Aż podskoczył z zaskoczenia widząc mnie w progu.

— Pozwoli pan na minutkę? Chciałbym o czymś porozmawiać. Zgaduję, że lubi pan szlachetną rywalizację — mówiłem, prowadząc go do jadalni. — Miałbym w związku z tym do pana pewną prośbę. Chciałbym na jakieś dziesięć minut pożyczyć pańską czapeczkę i kombinezon, w zamian za co mogę zaoferować całego suwerena.

Jego oczy błysnęły na widok złota, a na twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Gramy w grę? — spytał.

— Chodzi o zakład — wyjaśniłem. — Nie mam czasu, by teraz to wyjaśnić, ale wygram go, jeśli przez następne dziesięć minut będę mleczarzem. Wystarczy, że pan tu na mnie zaczeka. Może się pan trochę spóźnić do pracy, ale nikt nie będzie narzekał, a dodatkowo trochę pan zarobi.

— Oczywiście! — zgodził się radośnie. — Ja nie z tych, co psują innym. Bierzcie, co wam trzeba, szefie.

Naciągnąłem na siebie kombinezon, włożyłem czapeczkę i zabierając skrzynkę z butelkami zamknąłem za sobą drzwi. Gwizdząc

przez zęby, zszedłem na parter. Portier kazał mi zamknąć jadaczkę, co oznaczało, że przebranie okazało się skuteczne.

Z początku miałem wrażenie, że ulica jest pusta, ale chwilę później dostrzegłem policjanta stojącego jakieś sto jardów dalej, a po drugiej stronie ulicy kręcił się włóczęga. Jakiś odruch sprawił, że podniosłem wzrok na wysokość pierwszego piętra domu naprzeciwko, gdzie zauważyłem w oknie czyjąś twarz. Włóczęga również spojrział w okno i wydawało mi się, że zauważyłem wymianę sygnałów.

Z radosnym pogwizdywaniem przeszedłem przez ulicę, starając się naśladować dziarski krok mleczarza. Skręciłem w pierwszą boczną uliczkę i ruszyłem w lewo, docierając do opuszczonego zaułka. Wrzuciłem skrzynkę za ogrodzenie, a chwilę później w ślad za nimi poleciała czapeczka oraz kombinezon. Ledwie zdążyłem naciągnąć na czoło swój kaszkiet, gdy zza rogu wyłonił się listonosz. Powitałem go pogodnie, nie wzbudzając podejrzeń. W tej samej chwili zegar na wieży pobliskiego kościoła wybił siódmą.

Nie miałem ani chwili do stracenia. Gdy tylko dotarłem do Euston Road, rzuciłem się do biegu. Zegar wskazywał pięć po siódmej, kiedy dobiegłem do dworca Euston. Brakowało mi czasu na zakup biletu, ale też nie wiedziałem dokąd pojadę. Zapytałem konduktora o peron. Ten wskazał mi drogę, a gdy dotarłem na miejsce, zobaczyłem, że pociąg właśnie rusza. Dwójka mundurowych zablokowała mi drogę, lecz przemknąłem między nimi i wskoczyłem do ostatniego wagonu.

Trzy minuty później, gdy przejeżdżaliśmy przez północne tunele, odnalazł mnie podenerwowany konduktor. Wypisał mi bilet do Newton Stewart — była to pierwsza nazwa, która przyszła mi do głowy — i wskazał miejsce w przedziale pierwszej klasy. Szybko wymknąłem się stamtąd do palarni dla trzeciej klasy okupowanej przez jakiegoś marynarza i tęgą kobietę z dzieckiem. Mężczyzna nie przestawał narzekać, więc kiedy tylko otarłem spocone czoło, swoim najlepszym szkockim akcentem zacząłem opowiadać moim nowym towarzyszom, jak wielkich trudności przysporzyło mi dogonienie pociągu. Bez trudu wszedłem w swoją nową rolę.

— Ten konduktor to stary cap! — dorzuciła z goryczą gruba niewiasta. — Ktoś mu powinien porządnie nagadać po szkocku! Napyskował na mnie, że małemu biletu nie kupiłam. Smark roku nawet

nie ma! A temu panu nie pozwolił pluć na podłogę!

Na potwierdzenie jej słów marynarz posępnie pokiwał głową. Tak więc moje nowe życie rozpoczęło się atmosferze buntu wobec władzy. Przypomniałem sobie, że ledwie tydzień temu umierałem z nudów.

### 3. Przygoda z odczytanym oberżystą

Podróż na północ upłynęła mi w poważnym nastroju. Był piękny majowy dzień, głogowe żywopłoty zakwitły, zacząłem się więc zastanawiać, czemuż będąc jeszcze wolnym człowiekiem, tkwiłem uparcie w Londynie, zamiast wyruszyć w te cudowne okolice. Nie odważyłem się zaglądać do wagonu restauracyjnego, ale na stacji w Leeds udało mi się kupić kosz piknikowy. Podzieliłem się jego zawartością z otyłą niewiastą. Udało mi się również zaopatrzyć w poranne gazety, które donosiły głównie o przygotowaniach do derby i początku sezonu krykietowego, poświęcono też kilka akapitów na opisanie stabilizowania się sytuacji na Bałkanach oraz wizyty brytyjskiej floty w Kilonii.

Przejrawszy prasę, zabrałem się do studiowania zawartości czarnego notesu Scuddera. Zapełniały go pospiesznie czynione notatki, głównie rzędy cyfr, chociaż od czasu do czasu trafiały się jakieś nazwy. Udało mi się rozpoznać często występujące słowa, takie jak „Hofgaard”, „Luneville” i „Avocado”, najczęściej jednak pojawiała się „Pavia”.

Nie ulegało wątpliwości, że notatki zawierały jakiś szyfr, Scudder bowiem niczego nie robił bez przyczyny. Znałem się na tym trochę, mając za sobą służbę w wywiadzie nad zatoką Maputo podczas wojny burskiej. Byłem łebskim szachistą, radziłem sobie z łamigłówkami i moim zdaniem potrafiłem łamać szyfry. Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że mam przed sobą zwykły szyfr numeryczny, w którym litery zastąpiono cyframi, ale w takim przypadku każdy bystry człowiek rozwikłałby go w ciągu godziny lub dwóch, a zakładałem, że Scudderowi zależało na jak najlepszym utajnieniu notatek. Skupiłem więc uwagę na czytelnych słowach, wiedząc, że odnalezienie klucza pomogłoby mi ustalić sekwencję pozostałych liter.

Zmagałem się z tym przez kilka godzin, nie osiągając żadnego efektu. W końcu zapadłem w sen. Zbudziłem się akurat w porę przyjazdu do Dumfries, gdzie przesiadłem się do powolniejszego składu jadącego ku Galloway. Na peronie dostrzegłem jakiegoś mężczyznę, który wcale mi się nie spodobał, ani razu nie spojrzał jednak w moją stronę, co — gdy



zobaczyłem swoje odbicie w lusterku jednego z dworcowych automatów — nie zdziwiło mnie. Z ogorzałą twarzą, w znoszonych tweedach i z przygarbioną sylwetką niczym się nie różniłem od okolicznych gospodarzy, tłoczących się w wagonach trzeciej klasy.

Podróżowałem w zadymionym tanim tytoniem przedziale razem z szóstką miejscowych. Wracali z cotygodniowego targowiska i nie przestawali rozmawiać o cenach. Dowiedziałem się, że w Cairn, Deuch i mniej więcej tuzinie podobnie tajemniczych miejscowości podrożała jagnięcina. Nie zwracali na mnie uwagi, a większość z nich zajęła się obżarstwem i złopaniem whisky. Pociąg toczył się z wolna przez lesiste doliny i rozległe wrzosowiska, wśród których połyskiwały jeziora. Na horyzoncie majaczył niebieskawy zarys wysokich gór.

Około siedemnastej spełniły się moje nadzieje i przedział wreszcie opustoszał. Wsiadłem na następnej stacji, jakiejś zapadłej dziurze w samym środku moczarów, której nazwa umknęła mojej uwadze. Z miejsca poczułem się tam, jak na jednej z tych zapomnianych niewielkich stacyjek w Karru. Leciwy zawiadowca oderwał się od kopania w ogródku i opierając szpadel o ramię podszedł wolnym krokiem do pociągu, by odebrać worek z pocztą, po czym wrócił do swoich ziemniaków. Oddałem bilet dziesięcioletniemu dziecku i wyszedłem na żwirową drogę wijącą się wśród zbrązowiałych wrzosowisk.

Był wspaniały wiosenny wieczór, a każde wzgórze odcinało się od niebios z wyrazistością rżniętego ametystu. W powietrzu unosiła się intensywna roślinna woń moczarów, równie rześka co morska bryza i wywierająca na mnie dziwaczny efekt. Zapomniałem o tym, że jestem trzydziestosiedmioletnim mężczyzną poszukiwanym przez policję i nagle poczułem się beztroski niczym pacholę w czasie wiosennej włóczęgi. Przypomniały mi się mroźne poranki, gdy w podobnym nastroju wybierałem się w wysokie partie Wyżyny Weldów. Możecie mi nie wierzyć, ale ruszyłem przed siebie z radosnym pogwizdywaniem. Nie miałem żadnego planu, chciałem jedynie iść przed siebie, a każda chwila spędzona pośród tych błogosławionych, rześko pachnących wzgórzach wprawiała mnie w coraz lepszy humor.

Z przydrożnej leszczyny wyciąłem sobie laseczkę i zszedłem z drogi, obierając ścieżkę ciągnącą się wzdłuż wzburzonego strumienia płynącego płytkim wąwozem. Wierząc, że wciąż mam sporą przewagę

nad ewentualnym pościgiem, uznałem, że mogę sobie pozwolić tego wieczoru na drobne przyjemności. Od ostatniego posiłku dzieliło mnie już dobrych kilka godzin, więc dochodząc do niewielkiej zagrody nieopodal wodospadu, byłem już porządnie głodny. Stojąca w drzwiach chaty kobieta miała ogorzałą twarz i powitała mnie z uprzejmą nieśmiałością, charakterystyczną dla mieszkańców tych okolic. Kiedy zapytałem o możliwość noclegu, zaoferowała mi „legowisko na stryszku”, a chwilę później postawiła przede mną solidny poczęstunek złożony z szynki, jajek, bułek i gęstego słodkiego mleka.

Po zmierzchu wrócił do domu jej mąż, przygarbiony olbrzym, stawiający tak wielkie kroki, że zwyczajny śmiertelnik musiałby za jego jeden postawić trzy. Dochowując wierności obyczajom mieszkańców dziczy, nie zadawali mi żadnych pytań, widziałem jednak, że podejrzewają mnie o to, że jestem handlarzem, więc zdobyłem się na odrobinę wysiłku, aby potwierdzić ich przypuszczenia. Rozwodziłem się na temat bydła, o czym mój gospodarz miał nikłe pojęcie, on zaś opowiedział mi o lokalnych targach w okolicach Galloway, które to informacje postarałem się zapamiętać na przyszłość. Około dziesiątej wieczorem zacząłem przysypiać na krześle, zawlokłem więc swoje sterane ciało do „legowiska na stryszku”, z którego podniosłem się dopiero o piątej rano, gdy gospodarstwo ponownie zbudziło się do życia.

Nie zgodzili się na żadną zapłatę i uraczyli mnie śniadaniem, a o szóstej ponownie byłem w drodze, zmierzając na południe. Chciałem wrócić do torów, a jakąś stację lub dwie dalej ponownie wsiąść do pociągu jadącego w kierunku, z którego przyszedłem. Uznałem, że tak będzie najbezpieczniej, policja bowiem zapewne założy, że oddalam się od Londynu w kierunku jednego z zachodnich portów. Wiedząc, że obarczenie mnie winą za morderstwo zajmie im co najmniej kilka godzin, podobnie zresztą jak zidentyfikowanie człowieka, który wsiadł do pociągu na stacji St. Pancras, zakładałem, że wciąż mam nad nimi przewagę.

Pogoda okazała się równie wiosenna i przyjemna co dzień wcześniej, nadal więc nie potrafiłem poddać się troskom. W rzeczy samej od wielu miesięcy nie czułem się lepiej. Ruszyłem w długą drogę przez wrzosowiska, okrążając wysokie wzgórze zwane przez miejscowych pasterzy Cairnsmore of Fleet. Zewsząd dobiegały mnie trele kulików i

siewek, a poprzecinane strumieniami zielone łąki oznaczone były białymi kropkami pasących się jagniąt. Pozbyłem się ospałości, która nękała mnie w ostatnich miesiącach i szedłem przed siebie, beztroski niczym czteroletnie dziecko. W końcu, krok po kroku, dotarłem wreszcie do niewielkiego wzniesienia nad płytką doliną i zobaczyłem jakąś milę dalej unoszący się nad wrzosowiskami dym z komina parowozu.

Doszedłem do stacyjki, która okazała się idealna dla moich celów. Pośród wzgórz znalazło się miejsce dla jednego tylko toru, skromnej bocznicy, poczekalni, biura i chatki zawiadowcy z niewielkim ogródkiem porośniętym agrestem i goździkami. Wyglądało na to, że nie prowadzi tutaj żadna droga, a poczucie izolacji wzmacniał łoskot morskich fal rozbijających się jakieś pół mili dalej o granitowy klif. Kucając w wysokich wrzosach czekałem aż do chwili, gdy dostrzegłem na horyzoncie dym pociągu jadącego na wschód. Dopiero wtedy zaszedłem do maleńkiej kasy i kupiłem bilet do Dumfries.

W przedziale towarzyszył mi jedynie stary pasterz oraz jego pies — bestia o kaprawych ślepiach, która nie wzbudzała we mnie zaufania. Mężczyzna spał, a tuż obok niego leżał na siedzeniu egzemplarz „Scotsmana”. Gorliwie sięgnąłem po gazetę, spodziewając się, że być może dostarczy mi jakichś nowych informacji.

„Morderstwu z Portland Place”, jak zaczęto je nazywać, poświęcono dwie szpalty. Po tym, jak Paddock, mój służący, wezwał policję, mleczarz trafił do aresztu. Wyglądało na to, że biedaczyna drogo okupił zarobionego suwerena, a ja wykpiłem się tanim kosztem, maglowano go bowiem przez większą część pierwszego dnia dochodzenia. Dalszą część tej historii odnalazłem pośród najnowszych depesz. Dowiedziałem się, że mleczarz został zwolniony, zaś prawdziwy sprawca zbrodni, o którego tożsamości policja wypowiadała się nader oględnie, najprawdopodobniej wymknął się z Londynu na północ. Wspomniano również, że było to moje mieszkanie. Zgadywałem, że zrobiono to z polecenia władz, które z właściwą sobie niezdarnością próbowały mi zasugerować, że nie znalazłem się w kręgu podejrzanych.

Gazeta nie zawierała natomiast żadnych informacji o Karolidesie, polityce zagranicznej, ani o sprawach, które trapiły Scuddera. Odłożywszy ją na miejsce, stwierdziłem, że zbliżamy się do stacji, na której wysiadłem poprzedniego dnia. Zawiadowca znów musiał się

oderwać od kopania ziemniaków, ponieważ z pociągu jadącego na zachód, który czekał aż go minie, wysiadło trzech mężczyzn i zaczęło zasypywać go pytaniami. Domyślałem się, że mogli to być miejscowi policjanci — ponagleni do poszukiwań przez Scotland Yard — którzy dotarli za mną na tę mikroskopijną stacyjkę. Przyglądałem się im uważnie, ukryty w półcieniu. Jeden z nich pisał coś w swoim notesie. Zawiadowca reagował opryskliwie, ale chłopiec, który odebrał ode mnie wczoraj bilet, paplał bez żadnego skrępowania. Wszyscy spoglądali w stronę rozwidlenia białej drogi, przecinającej wrzosowiska. Miałem nadzieję, że podejmną właśnie ten ślad.

Kiedy nasz pociąg opuścił stację, mój towarzysz wreszcie się obudził. Spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem, kopnął psa i zapytał, gdzie się znajduje. Był spity jak nieboskie stworzenie.

— No i masz pan, tak to jest z tym niepicciem — westchnął z goryczą.

Nie ukrywałem zaskoczenia, że jest zwolennikiem wstrzemięźliwości.

— Taje. Zajadły ze mnie abstynent — odparł buńczucznie. — Przysięgłem się na świętego Marcina i od tego czasu nie skosztowałem ani kropli whisky. Nawet na sylwestra żem odpuścił, choć nie powiem, kusiło.

Wyciągnął nogi na sąsiednie siedzenie i oparł głowę o zagłówek.

— No i masz pan — jęknął. — We łbie piekielne ognie, a zeza zgubię pewnie coś w sobotę.

— Jak do tego doszło? — zapytałem.

— Gadają na to brandy. Trzymałem się z dala od whisky, jakem abstynent, ale przy chłeptaniu brandy zeszedł mi cały dzień i pewnie musi ze dwa tygodnie minąć, jak pójdę prosto.

Jego słowa zamieniły się w mamrotanie i mężczyzna ponownie zapadł w sen.

Miałem zamiar wymknąć się na którejś z kolejnych stacji, gdy nagle przytrafiła mi się lepsza sposobność. Pociąg zatrzymał się blisko wylotu kanału, którym płynęła wzburzona rzeka barwy ciemnego piwa. Rozejrzałem się i stwierdziłem, że w pobliżu nie ma żywej duszy, a okna wszystkich wagonów są pozamykane. Otwarłem więc drzwi i błyskawicznie wyskoczyłem z pociągu, kryjąc się w leszczynach rosnących wzdłuż torów.

I wszystko poszłooby po mojej myśli, gdyby nie ten diabelski pies. Bydlę uznało chyba, że próbuję się wymknąć z bagażem jego właściciela i rozszczękało się, po czym złapało mnie zębami za nogawkę. To z kolei zbudziło pasterza, który stanął w drzwiach wagonu, przekonany, że targnąłem się na swoje życie i zaczął krzyczeć. Przeczłgawszy się pomiędzy zaroślami, dotarłem nad brzeg strumienia i korzystając z osłony krzewów, oddaliłem się o jakieś sto jardów lub więcej. Kiedy odważyłem się wychylić z kryjówki, dostrzegłem, że przy wagonie zgromadziła się grupka pasażerów, którzy wraz z konduktorem patrzyli w moją stronę. Równie dobrze mogłem wysiąść z pociągu prowadząc za sobą orkiestrę dętą.

Na szczęście uwaga zebranych szybko skupiła się na pijanym pasterzu. Pies, wciąż uwiązany sznurkiem do paska mężczyzny, pociągnął go za sobą i oboje wypadli z wagonu głowami naprzód, staczając się z nasypu w stronę wody. Kiedy próbowano ich ratować, pies musiał kogoś ugryźć, nagle bowiem dało się słyszeć donośne przekleństwa. Korzystając z tego, że chwilowo o mnie zapomniano, odczołgałem się jeszcze jakieś ćwierć mili. Gdy spojrzałem ponownie w kierunku pociągu, skład właśnie ruszał i powoli znikał w leśnej przecince.

Znalazłem się na rozległym półkolistym wrzosowisku, odciętym z jednej strony rzeką, z drugiej zaś, północnej, okolonym wysokimi górami. Nie zauważyłem żadnych śladów ludzkiej obecności, a zewsząd dobiegał jedynie plusk wody i nieprzerwane trele kulików. Ale, co dziwne, to właśnie tam po raz pierwszy dopadł mnie lęk przed pościgiem. Nie przerażała mnie policja, tylko ludzie, którzy zdają sobie sprawę z tego, że poznałem tajemnicę Scuddera i chcą się mnie pozbyć. Byłem pewien, że ruszą za mną w pogoń z gorliwością i czujnością całkowicie obcą brytyjskiej policji, a jeśli tylko mnie złapią, nie okażą miłosierdzia.

Spojrzałem za siebie, lecz nie dostrzegłem niczego niepokojącego. Promienie słońca lśniły na metalowych szynach i mokrych kamieniach w strumieniu — trudno sobie wyobrazić bardziej kojący widok. Mimo to zerwałem się do biegu. Pędziłem przed siebie, próbując nie zważać na pot zalewający mi oczy i zapadałem się od czasu do czasu w grzęzawisku. Uspokoilem się dopiero wtedy, gdy padłem bez tchu na szczycie wzgórza, wysoko ponad rwącym nurtem brunatnej rzeki.

Z wzniesienia roztaczał się doskonały widok na całe wrzosowisko, aż do linii torów kolejowych; potrafiłem również dostrzec rozciągające się na południu turkusowe łąki. Choć mogę się poszczycić prawdziwie sokolim wzrokiem, nie dostrzegłem w tamtej okolicy żadnego ruchu. Skierowałem więc spojrzenie ku wschodowi, gdzie natrafiłem na odmienny krajobraz: płytkie doliny poznaczone licznymi gospodarstwami i poprzecinane cienkimi, zakurzonymi wstążkami polnych dróg. Wreszcie uniosłem głowę ku majowemu błękitowi nieba i zobaczyłem coś, co przyspieszyło bicie mojego serca...

Od południa zbliżał się ku mnie nisko lecący aeroplan. Byłem całkowicie przekonany, że wysłano go na poszukiwania i że na pewno nie należał do policji. Obserwowałem go jakąś godzinę lub dwie, kryjąc się w jarach na wrzosowisku. Maszyna sunęła nisko ponad górskimi szczytami, aż w końcu zaczęła zataczać coraz węższe kręgi nad doliną, z której się wymknąłem. Po jakimś czasie pilot chyba zmienił zdanie, ponieważ poderwał samolot ku niebu i odleciał z powrotem na południe.

Nie podobało mi się, że ktoś śledzi mnie z powietrza. Okolica, którą uznałem za swoją ostoję, straciła z tego powodu wiele uroku. Skoro moi wrogowie obserwowali mnie z góry, pagórki wrzosowisk nie dawały mi już schronienia, musiałem więc poszukać innej kryjówki. Spojrzałem z większym namysłem na zieloną krainę rozciągającą się po drugiej stronie grzbietu i doszedłem do wniosku, że tam właśnie znajdę knieje i kamienne chaty.

Około osiemnastej wydostałem się z wrzosowisk i wkroczyłem na pylistą drogę, która wiła się niczym wstęgą w wąskiej dolinie przeciętej strumieniem. Podążyłem nią, obserwując jak pola ustępują miejsca nieużytkom, a dolina przechodzi w płaskowyż; w końcu dotarłem do czegoś w rodzaju przełęczy, przy której stała samotna chatynka. Z komina unosił się dym. Droga prowadziła przez mostek, o balustradę zaś opierał się młodzieniec.

W ustach trzymał długą glinianą fajkę, a ukryte za okularami oczy wpatrywały się w nurt strumienia. W lewej ręce trzymał książkę, po której przesuwiał palcem, zaznaczając czytane miejsce. Z jego ust powoli popłynęły słowa wiersza:

— „...jak gryf w pustkowiu, gdy na skrzydłach tropi / W bagnach i wzgórzach Arymaspiańczyka”.

Młodzieniec aż podskoczył, słysząc stukot moich kroków na moście, a gdy spojrzał na mnie, dostrzegłem opaloną chłopięcą twarz.

— Dobry wieczór, wędrowcze — powitał mnie poważnym tonem.  
— Doskonały wieczór na wyprawę.

Od strony domu przywiało zapach torfowego dymu i smakowitej pieczeni.

— Czy to może gospoda? — zapytałem.

— Do pańskich usług — odparł uprzejmie. — Jestem jej właścicielem i mam nadzieję, że zechce się pan zatrzymać na noc, ponieważ, prawdę rzekłszy, od tygodnia obywam się bez jakiegokolwiek towarzystwa.

Przysiadłem na balustradzie mostu i sięgnąłem po swoją fajkę. Młodzian zdał mi się dobrym materiałem na sojusznika.

— Nie jest pan zbyt młody, by prowadzić gospodę?

— Param się tym, odkąd rok temu zmarł mój ojciec. Mieszkam z babką. Taka praca dla kogoś w moim wieku jest nużąca i na pewno sam bym jej sobie nie wybrał.

— A co by pan wybrał?

Na jego policzkach wykwitł autentyczny rumieniec.

— Chciałbym pisać książki — odparł.

— Cóż więc pana powstrzymuje? — aż zakrzyknąłem ze zdziwienia.  
— Chłopcze, nieraz mi się zdawało, że karczarze mogliby opowiedzieć najciekawsze historie na świecie.

— Już nie — sprzeciwił się gorliwie. — Może kiedyś, w dawnych czasach, gdy po drogach chodzili pielgrzymi i trubadurzy, a rabusie czyhali na dylizanse. Teraz zajeżdżają tu jedynie samochody pełne grubasek, które wstępują na drugie śniadanie, wiosną zajrzy jakiś wędkarz lub dwóch, w sierpniu zaś pojawiają się myśliwi. Nie da się o tym zbyt wiele napisać. Wolałbym podróżować po świecie, zaznać życia, tworzyć takie rzeczy jak Kipling i Conrad. A jedyne, co na razie osiągnąłem, to publikacja kilku wierszy w groszowym tygodniku.

Skierowałem spojrzenie ku gospodzie oświetlonej złocistym blaskiem słońca zachodzącego za brunatnymi wzgórzami.

— Zdarzyło mi się zobaczyć spory kawałek świata i na pana miejscu nie gardziłbym tym wszystkim. Naprawdę myśli pan, że tylko wśród tropików lub arystokracji w mundurach można przeżyć przygodę? A

może przygoda czeka tuż za rogiem?

— Kipling też tak mówił — zgodził się chłopak, a jego spojrzenie pojaśniało, gdy znów wyrecytował: „To uczucie budzi do istnienia godzinę 9.15”.

— Opowiem panu zatem prawdziwą historię — obiecałem. — Za jakiś miesiąc będzie pan mógł ją opublikować jako powieść.

Tak oto w ciepły majowy wieczór, siedząc na moście, owinąłem chłopaka kunsztownym kokonem półprawd. Przekazałem mu ogólny sens wydarzeń, niemniej pozwoliłem sobie na zmianę kilku drobiazgów. Podałem się za potentata górniczego z Kimberly, który wszedł w paradę przemytnikom diamentów i musi ukrywać się przed wzburzonym gangiem. Złoczyńcy rzucili się w pościg przez ocean, zabili mi najlepszego kompana i wciąż podążają moim śladem.

Opisałem tę historię barwnie, ale któż by się potrafił powstrzymać. Zobrazowałem mu ucieczkę przez Kalahari ku niemieckim koloniom w Afryce, te pełnych spiekoty dni i cudowne, aksamitne noce. Wspomniałem o zamachu na moje życie, z którego uszedłem cało w czasie podróży powrotnej, a morderstwem przy Portland Place wzbudziłem przerażenie.

— Skoro tak bardzo szuka pan przygody — oznajmiłem na koniec — to właśnie ją pan znalazł. Ścigają mnie złoczyńcy, za którymi ugania się policja. A ja mam zamiar wygrać ten wyścig.

— Na Boga! — westchnął młodzieniec, robiąc głęboki oddech. — Toż to opowieść rodem z Ridera Haggarda i Conan Doyle’a!

— Domyślam się więc, że wierzy pan w moje słowa? — upewniłem się z wdzięcznością.

— Oczywiście! — potwierdził, wyciągając przed siebie dłonie. — Zawsze wierzę w rzeczy niezwykłe. Jedyne, w co należy wątpić, to normalność.

Miałem do czynienia z młodym człowiekiem, ale wart był dla mnie każdych pieniędzy.

— Wydaje mi się, że ich zgubiłem, ale musiałbym się gdzieś przyczaić na kilka dni. Myśli pan, że znajdę tu schronienie?

Chłopak złapał mnie za łokieć i poprowadził do domu.

— Może się pan tutaj zaszyć jak w jaskini. Dopilnuję, by nikt nie wygadał, że pan tu jest. A w rewanżu opowie mi pan coś więcej o swoich



przygodach, dobrze?

Wchodząc na ganek, usłyszałem dochodzący z oddali warkot aeroplanu. Na zachodnim niebie unosiła się znajoma sylwetka jednopłatowca.

Chłopak zaprowadził mnie do pokoju na tyłach, skąd rozciągał się doskonały widok na płaskowyż, użyczył mi również swojego gabinetu, wypełnionego tanimi wydaniem powieści jego ulubionych autorów. Nigdzie nie zauważyłem babki, o której wcześniej wspominał, domyślałem się więc, że niedomaga i spoczywa w łóżku. Posiłek podała mi stara służąca imieniem Margit, a młody oberżysta nie odstępował mnie ani na krok. Potrzebując czasu dla siebie, musiałem wymyślić dlań jakieś zajęcie. Gdy dowiedziałem się, że ma motocykl, posłałem go następnego ranka po gazetę, którą dostarczano zazwyczaj dopiero wczesnym wieczorem razem z pocztą. Nakazałem mu, by bacznie rozglądał się za wszelkimi podejrzanymi osobnikami i zwracał szczególną uwagę na auta i samoloty. Później zasiadłem do rozszyfrowywania notatek Scuddera.

Chłopak wrócił około południa, przywożąc egzemplarz „Scotsmana”. Nie znalazłem w nim niczego ciekawego, poza wzmianką o Paddocku i mleczarzu; przypomniano również, że morderca najprawdopodobniej zbiegł na północ. Na dalszych stronach odkryłem długi przedruk z „Timesa” na temat Karolidesa i sytuacji na Bałkanach, ale artykuł nie wspominał słowem o zbliżającej się wizycie. Czując nową energię do zmierzenia się z szyfrem, ponownie pozbyłem się oberżysty, wyprawiając go na całe popołudnie.

Jak już wspominałem, szyfr numeryczny nie stanowił dla mnie nowości i po wielu próbach udaje mi się w końcu odkryć stojący za nim system. Problemem pozostawał brak słowa-klucza, milion opcji, z których mogłem w tym wypadku skorzystać, przyprawiał mnie o ból głowy. Nagle jednak, około piętnastej, poczułem nagły przypływ natchnienia.

Przez myśl przemknęło mi nazwisko: Julia Czeczenia. Scudder wspominał o jej strategicznej roli w sprawie Karolidesa. Postanowiłem sprawdzić, jak to zadziała.

Zadziałało. Pięć liter imienia pozwoliło mi odkryć położenie samogłosek. A zamieniało się w J, dziesiątą literę alfabetu, oznaczoną

rzymską cyfrą X. E to XXI i tak dalej. Litery w nazwisku pomogły mi odcyfrować podstawowe spółgłoski. Zapisałem klucz na skrawku papieru i zabrałem się do odczytywania notatek Scuddera.

Skończyłem pół godziny później i z twarzą białą jak ściana stukałem nerwowo palcami o stół.

Wyjrzawszy za okno, dostrzegłem długi samochód, który zmierzał przez dolinę w kierunku gospody. Zatrzymał się przed drzwiami, a przez okno dobiegł mnie gwar głosów należących, jak się okazało, do dwóch mężczyzn w eleganckich płaszczach i tweedowych kaszkietach.

Dziesięć minut później oberżysta wśliznął się do mojego pokoju z wyrazem podekscytowania na twarzy.

— Widział pan tych dwóch? Wypytują o pana — poinformował. — Siedzą teraz na dole i piją whisky. Zapytali, czy pana nie widziałem i twierdzą, że mieli nadzieję się tu z panem spotkać. Opisali pana w najdrobniejszych szczegółach, wiedzą nawet, jakie ma pan buty i koszulę. Kiedy im powiedziałem, że gościł pan tu zeszłej nocy, a rankiem odjechał na motocyklu, jeden z nich zaklął szpetnie niczym marynarz.

Poprosiłem, aby mi opowiedział, jak wyglądali. Jeden z nich był szczupłym ciemnookim jegomościem o krzaczastych brwiach, drugi zaś ciągle się uśmiechał i seplenił. Mój młody przyjaciel żywił przekonanie, że obaj są rodowitymi Anglikami.

Sięgnąłem po kartkę papieru i skreśliłem kilka słów po niemiecku, tworząc fragment listu:

...Czarny Kamień. Scudder zdołał to odkryć, ale przez dwa tygodnie nie mógł niczego zdziałać. Wątpię, czy uda mi się teraz coś osiągnąć, zwłaszcza że Karolides wciąż się waha. Jednak zdaniem pana T., to ja najlepiej się nadaję do tej roli i...

Starąłem się, by całość wyglądała jak najbardziej autentycznie i przypominała fragment prywatnej korespondencji.

— Proszę to zanieść na dół i powiedzieć, że znalazł pan ten list w mojej sypialni. I niech ich pan poprosi, aby mi go przekazali, jeśli mnie spotkają.

Jakieś trzy minuty później usłyszałem warkot zapuszczanego silnika. Podszedłem do okna i przyjrzałem się obu postaciom, spoglądając zza zasłony. Jedna z nich była szczupła, druga odznaczała się elegancją — i to właściwie wszystko, co zdołałem zaobserwować.

Ponownie odwiedził mnie podekscytowany młodzian.

— Pański list prawdziwie ich wzburzył — oznajmił radośnie. — Ciemnowłosy natychmiast pobladł, jakby zobaczył samą śmierć, i zaczął przeklinać, a grubas zagwizdał pod nosem i zmierzył mnie paskudnym spojrzeniem. Zapłacili pół suwerena za whisky i wyszli, nie czekając na resztę.

— Niech pan teraz posłucha — poprosiłem. — Powiem panu, co należy zrobić. Proszę wsiąść na motor i jechać do Newton-Stewart. Znajdzie pan głównego konstabla i opisz mu tych dwóch, mówiąc, że podejrzewa ich pan o związek ze sprawą zabójstwa w Londynie. Niech pan zmyśli dlaczego. Oni tu wrócą, bez dwóch zdań. Dziś pewnie przejadą jakieś sześćdziesiąt mil, szukając mnie wzdłuż drogi, ale jutro z rana na pewno się tu pojawią. Proszę przekonać policjantów, by przyjechali tutaj jak najwcześniej.

Wróciłem do notatek Scuddera, podczas gdy młodzieniec potulnie niczym dziecko zabrał się do spełnienia mojej prośby. Po jego powrocie zjedliśmy kolację, a wrodzona przyzwoitość skłoniła mnie do odpowiedzi na wszystkie jego pytania. Tym razem opowiedziałem mu o polowaniach na lwy oraz o wojnie z ludem Matabele, myśląc jednocześnie, jak beztrudno brzmią te przygody w porównaniu z tym, w co się aktualnie wpakowałem. Kiedy chłopak udał się na spoczynek, doczytałem notatki Scuddera, a potem siedziałem do świtu na krześle i paliłem fajkę, nie byłem bowiem w stanie zasnąć.

Około ósmej rano zobaczyłem sierżanta i dwóch konstabli, którzy zgodnie z wytycznymi przekazanymi im przez oberżystę zaparkowali samochód w stajni i weszli do gospody. Jakies dwadzieścia minut później wyjrzałem przez okno i ujrzałem kolejny samochód; zmierzał ku nam przez płaskowyż z przeciwnego kierunku. Nie podjechał pod gospodę, lecz zatrzymał się jakieś dwieście jardów dalej, ukryty częściowo wśród drzew. Dostrzegłem, że przed opuszczeniem pojazdu pasażerowie zadali sobie trud, by zawrócić i ustawić pojazd przodem do kierunku, z którego nadjechali. Minutę później usłyszałem ich kroki na żwirze pod oknem mojego pokoju.

Mój plan polegał na tym, że przyczaję się w sypialni i zobaczę, co się wydarzy. Miałem nadzieję, że spotkanie stróżów prawa oraz moich zdecydowanie groźniejszych prześladowców wywoła korzystne dla mnie

rozwiązanie. Nagle jednak przyszedł mi do głowy lepszy pomysł. Pospiesznie spisałem na kartce podziękowania dla mojego gospodarza, otwarłem okno i wyskoczyłem na zewnątrz, chowając się w krzakach agrestu. Ukryty przed wzrokiem postronnych, przedostałem się przez groble, zszedłem nad brzeg niewielkiego strumienia i znalazłem się na drodze po drugiej stronie kępy drzew, tuż obok zaparkowanego samochodu. Lśniący nowością pojazd pokrywał kurz, świadczący o długiej podróży. Wśliznąłem się na miejsce kierowcy, uruchomiłem silnik i ruszyłem spokojnie przez płaskowyż.

Droga gwałtownie opadała, więc niemal natychmiast straciłem z oczu gospodę, ale doszły mnie okrzyki bezsilnej wściekłości niesione przez wiatr.

## 4. Przygoda z kandydatem radykałów

Możecie sobie wyobrazić, jak w ten śliczny majowy poranek gnałem równą drogą, wyciskając wszystko z czterdziestokonnego silnika maszyny. Z początku co chwilę nerwowo oglądałem się przez ramię i nie mogłem się doczekać kolejnych zakrętów; później zaś, skupiając się na drodze przed sobą, wróciłem myślami do notatek Scuddera, które wciąż nie dawały mi spokoju.

Wyjawił mi same kłamstwa. Wszystko, co opowiadał o sytuacji na Bałkanach, żydowskich anarchistach oraz spotkaniu organizowanym przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, okazało się jedynie zasłoną dymną, podobnie jak to, co mówił o Karolidesie. Choć nie do końca, jak sami za chwilę się przekonacie. Mimo że za pierwszym razem bezkrytycznie zawierzyłem jego słowom i srodze się zawiodłem, teraz — wbrew znanemu przysłowiu, że jedynie głupiec popełnia ten sam błąd dwukrotnie — byłem skłonny dać całkowitą wiarę jego zapiskom.

Sam właściwie nie wiem dlaczego. Brzmiała w nich jakaś desperacka szczerść, zresztą nawet pierwsza wersja jego opowieści okazała się na swój pokrętny sposób prawdziwa. Piętnastego czerwca faktycznie miało się dokonać przeznaczenie, a jego konsekwencje były o wiele poważniejsze niż śmierć jakiegoś Greka. Skoro gra toczyła się o tak wielką stawkę, nie mogłem obwiniać Scuddera o próbę zatajenia prawdy i chęć rozegrania tego na własną rękę. To jasne, że taki właśnie miał plan. Ujawnił mi kilka wystarczająco doniosłych faktów, jednak sprawy najważniejsze zachował dla człowieka, który rozwikłał tajemnicę, czyli dla siebie. Nie chciał się z nikim dzielić, a ja nie potrafiłem go za to potępiać. W końcu podjął ogromne ryzyko.

Cała historia mieściła się w jego notatkach — z pewnymi lukami, oczywiście, które bez wątpienia potrafiłby uzupełnić z pamięci. Cztery zapisane w notesie imiona należały go informatorów, których wiarygodność oceniał za pomocą cyfr. Jeden z nich, Ducrosne, zdobył pięć punktów na pięć możliwych, podczas gdy inny, nazwiskiem Ammersfoort, dostał trzy. Reszta zapisków kryła jedynie podstawowy zarys całej historii oraz powtórzone po wielokroć i umieszczone w

nawiasie wtrącenie: „(Trzydzieści dziewięć schodów)”. Używając go po raz ostatni, rozwinął je nieco: „(Trzydzieści dziewięć schodów, policzyłem je wszystkie, przyплыw o 22.17)”. Niczego nie rozumiałem.

Przede wszystkim z notatek wynikało, że nie ma najmniejszej szansy, by zapobiec wojnie. Była nieunikniona, jak święta Bożego Narodzenia i zdaniem Scuddera wszystko ustalono już w lutym 1912 roku. Karolides stanowił jedynie pretekst. Rzecz zapięto na ostatni guzik: pożegna się z tym światem 14 czerwca, za osiemnaście dni od teraz. Zapiski mówiły jasno, że nic nie jest w stanie tego powstrzymać, a opowieść Scuddera o nieulekłych gwardzistach, gotowych oskórować własne babki, okazała się bujdą.

Drugim istotnym odkryciem to fakt, że wojna miała się okazać zupełnym zaskoczeniem dla Anglii. Zabójstwo Karolidesa wywoła poruszenie na Bałkanach, co zmusi Wiedeń do postawienia ultimatum. Rosji to się na pewno nie spodoba i dojdzie do wymiany ostrych not dyplomatycznych. Berlin przyjmie na siebie rolę rozjemcy i tak długo będzie uspokajał zwaśnione strony, aż sam znajdzie pretekst i w ciągu pięciu godzin napadnie na nasz kraj. Trzeba przyznać, że był to dobry plan. Obłudne przemowy i atak z zaskoczenia. Podczas gdy my wciąż zastanawialibyśmy się nad dobrą wolą i intencjami Niemców, oni zaminowaliby nasze plaże, a wokół każdego brytyjskiego okrętu zaroiliby się od niemieckich łodzi podwodnych.

Wszystko to zależało jednak od trzeciego elementu — tego, co miało się wydarzyć piętnastego czerwca. Nie rozwikłałbym tej zagadki, gdyby nie przypadkowe spotkanie z pewnym francuskim sztabowcem, który po powrocie z zachodniej Afryki opowiedział mi o wielu interesujących sprawach. Dowiedziałem się między innymi, że pomimo bzdur wygadywanych w parlamencie, istnieje sojusz pomiędzy Anglią i Francją, a członkowie sztabów generalnych obu krajów często zwołują narady, podczas których ustalają strategię na wypadek wojny. W czerwcu bowiem przyjedzie z Paryża jakaś nadzwyczaj ważna osobistość, która otrzyma zapewnienie o pełnej dyspozycji zmobilizowanej floty brytyjskiej. Tyle przynajmniej udało mi się zrozumieć; tak czy inaczej była to jakaś nadzwyczajnie istotna sprawa.

Piętnastego czerwca mieli się pojawić w Londynie również inni ludzie, których tożsamość mogłem jedynie zgadywać. Scudder mówił o

nich Czarny Kamień. Nie zaliczali się do naszych sprzymierzeńców, lecz do zaprzysięgłych wrogów. Zależało im na przejęciu informacji przeznaczonej dla Francuzów, po to, aby ją wykorzystać — pamiętajcie, wykorzystać — jakiś tydzień lub dwa później, gdy w mroku letniej nocy rozlegnie się huk dział, a ku angielskim okrętom pomkną torpedy.

Taką właśnie historię udało mi się rozszyfrować w pokoju na tyłach gospody, przy oknie z widokiem na pole kapusty. A teraz, jadąc przez doliny długim samochodem, nie potrafiłem przestać o niej myśleć.

Pierwotnie chciałem listownie poinformować o wszystkim premiera, ale uznałem, że nie miałyby to większego sensu. Któż uwierzyłby w moją opowieść? Potrzebowałem potwierdzenia, jakiegokolwiek dowodu i Bóg jeden wiedział, co mogłoby nim być. Przede wszystkim jednak musiałem na siebie uważać i mieć w sobie gotowość do działania, gdy sytuacja do tego dojrzeje, co wcale nie musiało być takie łatwe, biorąc pod uwagę fakt, że ugania się za mną brytyjska policja oraz cisi i przebiegli prześladowcy z Czarnego Kamienia.

Wciąż nie określiłem celu swojej podróży, ale kierując się słońcem, podążałem na wschód, wiedząc, że na północy trafiłbym na tereny kopalń i miast przemysłowych. Opuściłem już wrzosowiska i przemierzałem rozległe tereny podmokłe. Przez wiele mil jechałem wzdłuż parkowego muru, a pomiędzy drzewami mogłem dostrzec olbrzymi zamek. Przejeżdżałem przez niewielkie wioski z chatami wciąż krytymi strzechą, mijałem leniwe strumienie i ogrody skrzące się barwami głogu i złotokapu. Panował tu taki spokój, że nie potrafiłem myśleć o ludziach, którzy czyhają na moje życie ani o tym, że jeśli nie będę miał naprawdę nadspodziewanego szczęścia, to za jakiś miesiąc ta spokojna kraina zostanie obrócona w perzynę, a na angielskich polach legną zwały trupów.

Mniej więcej w południe dotarłem do nieregularnie zabudowanej wioski i postanowiłem zatrzymać się na posiłek. W pewnej chwili zauważyłem urząd pocztowy oraz jego naczelniczkę, która stała na schodach w towarzystwie policjanta. Oboje gorliwie studiowali jakiś telegram. Widząc samochód, policjant natychmiast zszedł na drogę i unosząc rękę nakazał mi się zatrzymać.

Omam nie wykonałem tego polecenia. W ułamku sekundy

skojarzyłem jednak telegram z pościgiem: moi znajomi z gospody musieli osiągnąć jakieś porozumienie i nadal bardzo chcieli się ze mną zobaczyć. Rozesłanie opisu samochodu do trzydziestu wiosek, przez które mógłbym przejeżdżać, nie stanowiło dla nich większego problemu. W ostatniej chwili zdjąłem nogę z hamulca. Policjant uczeplił się samochodowi, trzymając za krawędź dachu i dopiero lewy prosty w oko pozwolił mi się go pozbyć.

Zrozumiałem, że powinienem trzymać się z dala od głównych dróg i korzystać z tych mniej uczęszczanych. Zadanie nie należało do najłatwiejszych, zwłaszcza bez mapy; mogłem zbłądzić do jakiejś farmy, zagrody lub utknąć nad jakimś stawem, a opóźnienie było zdecydowanie niewskazane. Docierało do mnie z wolna, że wygłupiłem się, kradnąc samochód. Sporych rozmiarów zielony pojazd okazał się najłatwiejszym sposobem, by mnie odnaleźć: rzucał się w oczy w każdym zakątku Szkocji. Jeśli bym go jednak porzucił i wyruszył dalej pieszo, odnaleźliby go w ciągu godziny czy dwóch, a ja straciłbym szansę na wygraną w tym wyścigu.

Najpierw musiałem znaleźć jak najmniej uczęszczaną drogę. Okazało się, że wiedzie ona do dopływu jakiejś sporej rzeki, później zaś doprowadziła mnie w dolinę otoczoną stromymi wzgórzami, aż wreszcie po pokonaniu wielu zakrętów zawiodła do przełęczy. Okolica była całkowicie bezludna; dotarłem zbyt daleko na północ, skręciłem więc w wyboistą drożynę i ruszyłem na wschód, zatrzymując się przed torami kolejowymi. Przede mną rozciągała się następna szeroka dolina. Pomyślałem, że być może tam zdołam znaleźć jakąś odludną gospodę i skorzystać z noclegu. Zapadał już zmrok, a ja czułem wściekły głód, od śniadania zjadłem bowiem zaledwie parę bułeczek, które kupiłem od mijanego po drodze piekarza. Ale dokładnie w tej chwili usłyszałem odległy huk, a spoglądając w stronę, z której dochodził, ponownie zobaczyłem ów piekielny samolot: unosił się nisko nad ziemią ze dwanaście mil na południe od mojej kryjówki i szybko się zbliżał.

Rozsądek mi podpowiadał, że na wrzosowiskach będę zdany na miłosierdzie pilota, więc jedyną szansą ucieczki pozostało ukrycie się w lesistych dolinach. Zjechałem ze zbocza jak błyskawica i kręcąc głową na wszystkie strony śledziłem tę cholerną maszynę latającą. Wreszcie udało mi się dojechać do drogi wiodącej wzdłuż strumienia płynącego dnem



głębokiego żlebu. Chwilę później trafiłem na leśną gęstwinę, która zmusiła mnie do zmniejszenia prędkości.

Nagle po mojej lewej usłyszałem dźwięk klaksonu i uświadomiłem sobie z przerażeniem, że za chwilę staranuję jeden ze słupków oznaczających koniec drogi i początek prywatnego podjazdu. Również zatrąbiłem, niemniej było już za późno. Wcisnąłem hamulec, ale samochód pędził z taką prędkością, że nie mogłem uniknąć zderzenia z autem jadącym prostopadle do mnie. Widząc, że za moment obie maszyny zetną się na miazgę, zrobiłem jedyną możliwą rzecz w takiej sytuacji — odbiłem w prawo, mając nadzieję, że krzaki pozwolą mi bezpiecznie wyhamować.

Ale tu się myliłem. Samochód przeciął krzaki jak masło i runął w dół. Zrozumiałem, co się święci, i zerwałem się z siedzenia, chcąc wyskoczyć. Uderzyła mnie jednak gałąź głogu, która zaczepiła się o moją pierś i zawisłem w powietrzu, patrząc jak tona czy dwie tony kosztownego żelastwa zsuwa się w dół z boczka i spada z głośnym pluskiem do strumienia położonego jakieś pięćdziesiąt stóp niżej.

W końcu udało mi się wyplątać z kolczastych gałęzi. Przy pomocy różnych krzaków i pokrzyw powoli podciągnąłem się w górę. Gdy udało mi się wreszcie stanąć na nogi, jakaś dłoń złapała mnie za ramię, a czyjś wystraszony głos zaczął dopytywać, czy nic mi się nie stało.

Stał przede mną wysoki młody mężczyzna; nosił samochodowe gogle i wełniany płaszcz. Człowiek ów nie przestawał mnie przeproszać, klnąc się przy tym na swoją nieśmiertelną duszę. Ja zaś, kiedy udało mi się już otrząsnąć, musiałem przyznać, że cała ta sytuacja wyszła mi na dobre — udało mi się przecież pozbyć samochodu.

— To moja wina, szanowny panie — uspokoiłem mężczyznę. — I tak miałem wiele szczęścia, że do wszystkich popełnionych przeze mnie głupot nie dołożyłem nieumyślnego zabójstwa. Tutaj kończy się moja samochodowa wycieczka po Szkocji, choć mogło się skończyć życie.

Nieznajomy spojrzał na wyciągnięty z kieszonki zegarek.

— Porządny z pana gość — oznajmił. — Mam akurat wolny kwadrans, a mój dom znajduje się jakieś dwie minuty drogi stąd. Dopilnuję, by się pan przebrał, najadł i przespał. Ma pan jakiś bagaż, czy pańskie rzeczy przepadły wraz z samochodem?

— Wszystko noszę po kieszeniach — odpowiedziałem, wyciągając

szczotkę do zębów. — Nauczyłem się tego w koloniach.

— Bawił pan w koloniach? — zdumiał się mężczyzna. — Na Boga, dokładnie o kogoś takiego się właśnie modliłem! Czy jest pan może również zwolennikiem wolnego handlu?

— Oczywiście — potwierdziłem, choć nie pojmowałem pytania.

Poklepał mnie po plecach i zaprosił do swojego samochodu. Trzy minuty później zatrzymaliśmy się przed stojącym pośród sosen szarym domkiem myśliwskim i weszliśmy do środka. Najpierw zaprowadził mnie do sypialni, gdzie rozłożył przede mną jakieś pół tuzina garniturów, moja odzież była bowiem w strzępach. Wybrałem luźną marynarkę z granatowej serży, zdecydowanie różniącą się do tego, co nosiłem wcześniej, i dobrałem do niej lnianą koszulę bez kołnierzyka. Później gospodarz zaciągnął mnie do jadalni, gdzie na stole stały resztki posiłku i oznajmił, że mam pięć minut na zaspokojenie głodu.

— Może pan sobie upchnąć coś po kieszeniach. Jak wrócimy, będzie kolacja — powiedział. — O ósmej muszę być u masonów, w przeciwnym razie mój agent zmyje mi głowę.

Nalałem sobie kawy i złapałem kawałek zimnej pieczeni, podczas gdy mój gospodarz, stojąc przed kominkiem, snuł zawiłą opowieść.

— Muszę przyznać, że zastaje mnie pan w stanie wielkiego pomieszania, panie... Tak właściwie jeszcze mi się pan chyba nie przedstawił? Jest pan może z Twidsonów? Którymś krewnym starego Tommy'ego Twidsona, szesnastego z rodu? Nie? No cóż, ja za to jestem kandydatem Partii Liberalnej z tego okręgu, a dziś czeka mnie najważniejszy wiec — w Brattleburn, tym gnieździe torysów. Uzgodniłem, że w moim imieniu wystąpi również były kolonialny premier, Crumpelton, w związku z czym możemy się dzisiaj spodziewać tłumów. Problem w tym, że rano otrzymałem telegram od tego gburą, w którym oznajmił, że złożyła go grypa i nie ruszy się z Blackpool. Zostałem ze wszystkim całkiem sam. Moja przemowa miała potrwać dziesięć minut, teraz muszę wypełnić czterdzieści i od dobrych trzech godzin łamię sobie głowę, próbując cokolwiek wymyślić. Nie potrafię tak długo mówić. W związku z czym muszę poprosić pana o pomoc. Jest pan zwolennikiem wolnego handlu, może im pan więc opowiedzieć, jaką katastrofą okazał się państwowy protekcjonizm w koloniach. Wiem, że jak wszyscy z tamtych okolic, ma pan na pewno dar do snucia opowieści i

mogę tylko żałować, że sam nie zostałem nim obdarzony. Będę ogromnie zobowiązany, jeśli się pan zgodzi.

Nie miałem zbyt wielkiego pojęcia o wolnym handlu, ale tylko tak zdołałem osiągnąć swój cel. Mój młody towarzysz był tak zaaferowany własną sytuacją, że nie widział niczego dziwnego w proponowaniu roli mówcy na wiecu przypadkowemu człowiekowi, który właśnie rozbił wart tysiąc gwinei samochód. Sam zresztą nie zastanawiałem się nad tym zbyt długo. Nie mogłem sobie pozwolić na grymaszenie przy doborze sojuszników.

— W porządku — zgodziłem się. — Żaden ze mnie orator, ale mogę opowiedzieć trochę o Australii.

Moje słowa zdjęły z jego ramion olbrzymi ciężar. Mężczyzna natychmiast się ożywił zaczął mi wylewnie dziękować. Pożyczył mi nieco za duży płaszcz — nie przyszło mu do głowy zapytać, dlaczego wybrałem się w podróż odkrytym samochodem, nie pamiętając o tym elemencie odzieży — a kiedy wyjechaliśmy na zakurzoną drogę, streścił podstawowe fakty ze swojego życia. Okazało się, że był sierotą, a jego wychowaniem zajmował się wuj, którego nazwisko umknęło mej pamięci, należał jednak do Rady Ministrów i mogliście czytać w gazetach jego przemówienia. Po ukończeniu Cambridge młodzieniec wyruszył w świat, a gdy po powrocie nie potrafił znaleźć pracy, wuj zasugerował mu karierę polityczną. Z tego, co się zorientowałem, mój gospodarz nie zgadzał się z polityką żadnej partii.

— W obu są świetni ludzie — wyjaśnił pogodnie. — I w obu znajdziemy ćwoków. Jestem liberałem, ponieważ mój ród od zawsze przynależał do wigów.

Chociaż polityka nie rozpałała jego emocji, potrafił ze swadą rozprawiać o wielu innych tematach. Dowiedziawszy się, że wiem co nieco o koniach, zaczął paplać o tegorocznych uczestnikach Derby; oznajmił również, że musi poćwiczyć strzelanie. W gruncie rzeczy był to bardzo porządny, niedoświadczony i naiwny młody człowiek.

Jadąc przez niewielkie miasteczko, natknęliśmy się na dwóch policjantów, którzy zamachali trzymanymi w rękach latarniami i kazali się nam zatrzymać.

— Proszę o wybaczenie, sir Harry — odezwał się jeden z nich — ale dostaliśmy rozkaz rozglądania się za samochodem z opisu dość

podobnym do pańskiego.

— Jasna sprawa — powiedział mój gospodarz, podczas gdy ja po raz kolejny musiałem podziękować Opatrzności za pokrętne drogi, którymi wiodła mnie ku bezpiecznej przystani.

Po tym spotkaniu sir Harry zamilkł, pogrążony w wymyślaniu zbliżającej się przemowy. Wciąż mamrotał coś pod nosem, patrząc przed siebie błędnym wzrokiem, zacząłem się więc obawiać kolejnego wypadku. Sam również próbowałem się skupić na tym, co powinienem powiedzieć, ale umysł miałem wyschnięty na wiór. Jakiś czas później zatrzymaliśmy się przed stojącym przy ulicy domem i powitała nas grupka hałaśliwych mężczyzn, noszących na piersiach partyjne rozety. W środku czekało na nas jakieś pięćset osób, głównie kobiety, kilku łysogłowych i parunastu młodzieńców. Przewodniczący, podejrzany jegomość z poczerwieniałym nosem, nie krył zawodu nieobecnością Crumpeltona i wygłosił długi monolog na temat niebezpieczeństw grypy, po czym przedstawił mnie jako „czołowego australijskiego myśliciela”. Żywiłem nadzieję, że dwaj policjanci pilnujący wejścia do auli zapamiętają jego słowa. Sir Harry rozpoczął zaś swoją przemowę.

Przyznam, że jeszcze nigdy czegoś takiego nie słyszałem. Ten człowiek nie miał pojęcia o przemawianiu. Wokół niego piętrzyły się notatki, z których odczytywał kolejne fragmenty, a kiedy tracił wątek, jękał się straszliwie. Co jakiś czas przypominał sobie wyuczone na pamięć zdanie, prostował się wtedy i wygłaszał je z aktorską swadą Henry’ego Irvinga, po czym znów pochylał się nad stosem papierów i zaczynał dukać. Z jego ust wydobywały się nieprawdopodobne bzdury. Bredził o „germańskim zagrożeniu”, opowiadał, że torysi pozbawili biedotę wszelkich praw i blokowali konieczne reformy społeczne, „zorganizowana klasa robotnicza” zdawała sobie z tego jednak sprawę i nie przestawała szydzić z torysów. Opowiadał się za tym, by w geście dobrej woli zredukować naszą flotę i skłonić Niemców do tego samego. Gdyby odmówili, mieliśmy palnąć ich w czerep. Twierdził, że wbrew staraniom torysów, Niemcy i Anglia mogą współpracować na rzecz reform i pokoju. Pomyślałem o czarnym notatniku ukrytym w mojej kieszeni. Znaczna liczba znajomych Scuddera również na swój sposób troszczyła się o pokój i reformy.

Spodobało mi się to dziwaczne przemówienie. Mimo idiotyzmów,

które ktoś nakładł temu chłopcu do głowy, wciąż sprawiał wrażenie sympatycznego człowieka. Mogłem się również całkowicie odprężyć — chociaż żaden ze mnie orator, na pewno poradzę sobie tysiącrotnie lepiej niż sir Harry.

I faktycznie, gdy już przyszła moja kolej, nie było wcale tak najgorzej. Modląc się w duchu, by na sali nie trafił się żaden Australijczyk, opowiedziałem im wszystko, co wiedziałem na temat tego kontynentu. Mówiłem o partii robotniczej, emigrantach i powszechnym dostępie do wszelakich usług. Wydaje mi się, że nie zająknąłem się ani słowem na temat wolnego handlu, perorowałem natomiast o tym, że w całej Australii nie ma ani jednego torysa, sami liberałowie i laburzyści. Wzbudziło to powszechny entuzjazm publiczności, która żywo reagowała, gdy opowiadałem o kolejnych wspaniałych pomysłach na wzbogacenie Imperium, dodając, że należałoby się do tego mocno przyłożyć.

Koniec końców, wydaje mi się że odniosłem sukces. Przewodniczący jednak nie podzielał tej opinii, ponieważ w trakcie tradycyjnych podziękowań wspomniał, że przemowa sir Harry'ego godna była prawdziwego męża stanu, moja zaś, jego zdaniem, „kojarzyć się mogła z reklamą biura emigracyjnego”.

Gdy wsiedliśmy ponownie do samochodu, mój gospodarz nie krył szalonego zadowolenia z wykonanego zadania.

— Wspaniała mowa, Twidson — pochwalił moje wysiłki. — Jedziemy teraz do mnie. Jestem aktualnie pozbawiony towarzystwa, a gdyby zechciał pan zatrzymać się na dzień lub dwa, moglibyśmy wyprawić się na ryby.

Po zjedzeniu ciepłej kolacji, której naprawdę potrzebowałem, zasiedliśmy w obitej wiśniową boazerią olbrzymiej palarni i przed kominkiem sączyliśmy grog. Uznałem, że nadeszła pora, by włożyć karty na stół. Patrząc w oczy sir Harry'ego, wiedziałem, że to człowiek, któremu mogę zaufać.

— Proszę posłuchać — zacząłem. — Chciałbym panu opowiedzieć o czymś ważnym. Wygląda pan na porządnego człowieka, dlatego będę szczery. Skąd do diaska wytrzasnął pan te szalone banialuki, ogłoszone dzisiejszego wieczoru?

Mój gospodarz poblądł na twarzy.

— Było aż tak źle? — zapytał ze skruchą. — Mnie również się wydawało, że nie brzmi to zbyt solidnie. Większość przepisałem z liberalnego czasopisma i broszurek, które wciąż podrzuca mi mój agent. Ale nie myśli pan chyba, że Niemcy kiedykolwiek wypowiedzą nam wojnę, prawda?

— Proszę poczekać jakieś sześć tygodni i sam pan się przekona. Jeśli zechce mi pan poświęcić najbliższe pół godziny, opowiem panu pewną historię.

Wciąż mam w pamięci ten rozświetlony pokój o ścianach obwieszonych porożami i starymi sztychami, sir Harry'ego chodzącego nerwowo przed kominkiem i siebie samego, jak siedząc w fotelu pogrążam się w opowieści. Odnosiłem wtedy wrażenie, jakbym stał tuż obok i wsłuchiwał się z dystansu we własne słowa, próbując ocenić ich wiarygodność. Po raz pierwszy zdecydowałem się wyjawić całą prawdę, a przynajmniej tyle, co z niej rozumiałem, co w ostateczności przyniosło mi wiele pożytku: dzięki temu zdołałem posortować wszystkie fakty. Opowiedziałem mu o Scudderze oraz mleczarzu, wspomniałem o notesie i moich wyczynach w Galloway. Mój gospodarz nie potrafił powstrzymać ekscytacji i wciąż chodził tam i z powrotem po dywaniku przed kominkiem.

— Widzi pan więc — podsumowałem — że wpuścił pan do domu człowieka poszukiwanego za zabójstwo przy Portland Place. Powinien pan teraz wydać mnie policji. Nie wydaje mi się, żebym pożył zbyt długo; pewnie jakąś godzinę czy dwie po aresztowaniu znajdą mnie z nożem wbitym między zębra. Jako praworządny obywatel nie ma pan jednak innego wyjścia. Być może za jakiś miesiąc zrobi się panu z tego powodu niezwykle przykro, ale nie ma pan obowiązku się teraz nad tym zastanawiać.

Spoglądał na mnie spokojnie swoimi jasnymi oczami.

— Czym pan się zajmował w Rodezji, panie Hannay? — zapytał.

— Inżynierią górniczą — przyznałem. — Lubiłem tę pracę i przyniosła mi godziwy zarobek.

— To raczej nie jest zawód dla ludzi o słabych nerwach, prawda? Musiałem się zaśmiać.

— Tak. Nerwy mam całkiem w porządku. — Sięgnąłem po nóż myśliwski leżący na jednej z półek i pokazałem mu starą sztuczkę

poznaną wśród ludu Szona: podrzuciłem ostrze i złapałem je zębami. Coś takiego wymagało stalowych nerwów.

— Nie potrzebuję dowodu — stwierdził mój gospodarz, patrząc na mnie z uśmiechem. — Być może z mównicy brzmię jak ostatni osioł, ale znam się na ludziach. Żaden z pana morderca. Nie jest pan również głupi i wierzę w pańskie słowa. Chciałbym pana wesprzeć, tylko musiałbym się dowiedzieć, co mogę zrobić.

— Przede wszystkim mógłby pan napisać do wuja. Przed piętnastym czerwca muszę nawiązać kontakt z jakimiś przedstawicielami rządu.

Sir Harry podkreślił w zamyśleniu koniuszek wąsa.

— To panu w niczym nie pomoże. Wszystko znajduje się w gestii Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a wuj nie ma na nich żadnego wpływu. Zresztą i tak nigdy by go pan nie przekonał. Mam za to coś lepszego. Skontaktuję się z sekretarzem ministra spraw zagranicznych. To mój chrzestny i jeden z najlepszych ludzi, jakich znam. Czego pan potrzebuje? — Zasiadł za stołem i zabrał się za sporządzanie listu pod moje dyktando. Poinformowaliśmy sekretarza, że przed piętnastym czerwca odwiedzi go niejaki Twidson (uznałem, że lepiej będzie pozostać przy tym nazwisku) i poprosiliśmy, by potraktowano go z jak największą uprzejmością. By potwierdzić swoją tożsamość, Twidson musiał podać hasło — „Czarny Kamień” — i odgwizdać fragment melodii Annie Laurie.

— Doskonale — stwierdził sir Harry. — To właściwe postępowanie. Moim chrzestnym jest sir Walter Bullivant i znajdzie go pan w jego wiejskiej posiadłości w Whitsuntide. To w pobliżu Artinswell, nad brzegiem Kennet. Myślę, że tę sprawę mamy tym samym załatwioną. Co dalej?

— Jest pan mniej więcej mojego wzrostu, chciałbym więc pożyczyć kilka starych garniturów. Obojętnie jakich, byle różniły się kolorem od stroju, który miałem na sobie dzisiejszego popołudnia. Później spojrzelibyśmy na mapę, aby poznać okoliczne tereny. Jeśli policja zacznie mnie tu szukać, może im pan pokazać samochód w strumieniu, gdyby zaś pokazali się tutaj ci drudzy, proszę im powiedzieć, że zaraz po wiecu odjechałem pociągiem na południe.

Spełnił wszystkie moje prośby i obiecał, że dotrzyma pozostałych ustaleń. Pozbyłem się resztek wąsa i założyłem staroświecki garnitur w

kolorze bodaj wrzosowym. Dzięki mapie zorientowałem się mniej więcej, gdzie jestem i dowiedziałem się dwóch istotnych rzeczy — którąś dotrzeć do linii kolejowej prowadzącej na południe oraz gdzie w okolicy znajdują się najbardziej odludne tereny. Około drugiej w nocy gospodarz zbudził mnie z krótkiej drzemki w fotelu i poprowadził na zewnątrz. Na niebie skrzyły się gwiazdy, a przed szopą czekał na mnie stary rower.

— Najpierw pojedzie pan w prawo, wzdłuż sosen — wyjaśnił sir Harry. — Do rana powinien pan dotrzeć na wzgórze. Potem proszę utopić rower w bagnie i ruszyć pieszo przez wrzosowiska. Może się pan zatrzymać na jakiś tydzień wśród pasterzy. Myślę, że będzie pan wśród nich równie bezpieczny jak na Nowej Gwinei.

Pedałowałem przed siebie stromymi ścieżkami aż do świtu. Kiedy podniosły się poranne mgły i błysnęły pierwsze blade promienie słońca, odkryłem, że jestem otoczony ze wszystkich stron bujnie porośniętymi zielonymi dolinami ciągnącymi się aż po błękitny horyzont. Z tego miejsca mogłem bez trudu wypatrywać zbliżających się wrogów.



## 5. Przygoda z niedowidzącym kamieniarzem

Przycupnąłem w najwyższym punkcie przełęczy i zacząłem się zastanawiać nad swoim położeniem.

Za mną była droga, która wiła się szczeliną w stromym zboczu, stanowiącym jedną ze ścian doliny poprzecinanej rzeczulkami. Przedemną rozciągał się płaskowyż pokryty moczarami i porośnięty kępami trawy, a jakąś milę dalej droga gwałtownie opadała ku kolejnej dolinie, za którą zaczynała się równina, z tej odległości zlewająca się z horyzontem. Po prawej i lewej miałem lesiste łagodne pagórki, ale na południu — to znaczy po lewej — majaczył w dali zarys wysokich gór. Odnalazłem je wcześniej na mapie i uznałem, że te skaliste szczyty powinny zapewnić mi schronienie. Stojąc na wysokim wale pośrodku wzgórz, mogłem dostrzec najmniejszy nawet ruch z odległości kilku mil. Nie licząc samotnej chatki pośrodku wrzosowisk jakieś ćwierć mili od drogi i unoszącej się z jej komina smużki dymu, nigdzie wokół nie widziałem śladów ludzkiej bytności. Wokół mnie słychać było jedynie pokrzykiwanie siewek oraz cichy szum strumyków.

Dochodziła siódma, gdy ponownie usłyszałem złowieszczy warkot w powietrzu. Nagle uświadomiłem sobie, w jaką wpakowałem się pułapkę, zatrzymując się na samym szczycie. Nawet sikorka nie zdołałaby się ukryć w tych rzadkich kępach trawy.

Znieruchomiałem, przykucnięty na ziemi i wsłuchiwałem się w coraz głośniejszy warkot silnika i nie miałem pojęcia, co począć. W końcu dostrzegłem samolot nadlatujący od wschodu. Z początku unosił się wysoko, ale wkrótce opadł o kilkaset stóp i zaczął krążyć nad szczytem wzgórza niczym jastrzęb nad zdobyczą. Jeden z jego pasażerów musiał mnie dostrzec, lecieli bowiem tak nisko, że widziałem lornetkę wycelowaną w moim kierunku.

Nagle maszyna znów się uniosła, zataczając kolejne łuki powolnej spirali, a chwilę później odleciała na wschód, zamieniając się w czarną kropkę na błękitnym tle nieba.

Zmusiło mnie to do myślenia. Skoro wrogowie zdołali mnie wypatrzyć, mogłem się spodziewać, że już wkrótce cały teren otoczy

szczelny kordon. Nie miałem pojęcia, jakimi dysponowali siłami, ale domyślałem się, że są wystarczające. Widząc mój rower, załoga samolotu założyła zapewne, że będę próbował uciekać drogami. To dawało mi niewielką szansę na wymknięcie się przez wrzosowiska rozciągające się po mojej lewej i prawej stronie. Odprowadziłem rower jakieś sto jardów od drogi i cisnąłem go w trzęsawisko, gdzie zniknął wśród rdestnic i jaskrów. Chwilę później wspiąłem się na pobliski pagórek, skąd mogłem się przyjrzeć obu dolinom. Przecinająca je zakurzona droga była zupełnie pusta.

Jak już wspomniałem, na całej równinie nawet szczer nie znalazłby bezpiecznej kryjówki. Wraz z upływem dnia okolicę zalało delikatne, miękkie światło, dzięki któremu poczułem się tak, jakbym znów wrócił na Wyżynę Weldów. Gdyby nie moje położenie, zapewne pokochałbym tę krainę; teraz jednak zaczynałem się w niej dusić. Wrzosowiska otoczyły mnie niczym więzienne mury, a rześkie górskie powietrze niosło ze sobą woń lochów.

Rzuciłem monetą: orzeł — idę na prawo, reszka — uciekam w lewo. Wypadł orzeł, ruszyłem więc na północ. Jakiś czas później wspiąłem się na kolejne wzniesienie, skąd rozciągał się widok na dziesięciomilowy fragment drogi. Coś się na niej poruszało — najprawdopodobniej samochód. Spojrzałem na drugą stronę wzgórza, gdzie rozciągała się zielona łąka przechodząca w zalesioną dolinę.

Długie lata na afrykańskich sawannach sprawiły, że mam sokoli wzrok i dostrzegam drobiazgi, do których większość ludzi potrzebowałaby lunety... na przykład oddaloną o kilka mil grupkę mężczyzn, którzy zbliżali się do zbrocza, rozciągając szyk jak prawdziwa nagonka.

Ukryłem się przed ich wzrokiem za grzbietem wzgórza. Skoro z tamtej strony droga wiodła w zasadzkę, musiałem dotrzeć w wyższe partie gór na południu od drogi. Widziany chwilę wcześniej samochód coraz bardziej się zbliżał, ale nadal miał do pokonania sporą odległość po stromej górskiej drodze. Zerwałem się do biegu i popędziłem przed siebie, przyczajony nisko nad ziemią, odważając się wyprostować jedynie ukryty w parowach. Wciąż wpatrywałem się w majaczący przede mną grzbiet wzgórza, nie potrafiąc stwierdzić, czy to tylko moja wyobraźnia, czy też faktycznie dostrzegłem dwie lub kilka postaci zmierzających w

kierunku doliny nad potokiem.

W przypadku osaczenia ze wszystkich stron można zrobić tylko jedno: pozostać na miejscu i nie dać się znaleźć, gdy przeciwnicy zaczną przeszukiwać teren. Tak podpowiadał mi zdrowy rozsądek, ale jak u diabła znaleźć kryjówkę na równym jak stół terenie? Mógłbym się zanurzyć po szyję w bagnie lub wspiąć na najwyższe drzewo, lecz w okolicy mogłem liczyć jedynie na parę kałuż i wąziutką strugę potoku. Oprócz tego miałem wokół siebie jedynie wrzosa, gołe zbocze i zakurzoną drogę.

I wtedy właśnie, tuż za stosem głazów na poboczu drogi, wypatrzyłem kamieniarza. Musiał dopiero co przyjechać, ale machał młotem z wyraźnym zmęczeniem. Kiedy do niego podszedłem, spojrzał na mnie podejrzliwie i ziewnął.

— Niech szlag trafi dzień, kiedym porzucił pasterstwo — odezwał się takim tonem, jakby chciał się wyzalić całemu światu. — Byłem sobie panem. A teraz tyram jak jakiś niewolnik dla tych z rządu, a od ciągłego schylania cycki mi rosną na plecach.

Ponownie uniósł młot, walnął nim w kamień i natychmiast upuścił, zakrywając uszy dłońmi.

— Jezu miłosierny! — jęknął. — Łeb mi pęknie!

Był to dziwaczny mężczyzna, mniej więcej mojego wzrostu, ale przygarbiony, o twarzy porośniętej tygodniowym zarostem i oczach kryjących się za wielkimi rogowymi oprawkami okularów.

— Nie dam rady — skamlał dalej. — Wracam do łóżka. Niech se nadzorca pisze donosy.

Zapytałem, co mu dolega, choć właściwie nie potrzebowałem wyjaśnień.

— Spiżem się, w tym rzecz — padła odpowiedź. — Zeszłego wieczora córuś moja, Merryn, brała ślub, tańcowałimy do samego rana, a potem siedlimy w kilku na malucha. I poszło... Niech mnie pokręci, jeśli spojrzę na czerwone wino.

Zgodziłem się, że w takim stanie najlepiej będzie mu w łóżku.

— Gadanie — westchnął kamieniarz. — Doszła wczoraj kartka, że zajedzie tu nowy nadzorca. Wyleje mnie, jak nie będę przy robocie, albo odkryje, że sobie chlapnąłem. Mógłbym powiedzieć, że brzuch mnie boli, ale zaraz który by jeden z drugim zwał.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

— Czy ten nadzorca już kiedyś pana widział? — zapytałem.

— E. Ten pracuje coś od tygodnia i rozbija się automobilem po okolicy.

— A gdzie pan mieszka?

Odpowiedział, wskazując palcem chatkę przy potoku.

— Proszę więc wracać do domu i położyć się do łóżka — zaproponowałem. — Zajmę się pańską robotą i pogadam z nadzorcą.

Kamieniarz wbił we mnie bezmyślne spojrzenie; kiedy wreszcie do jego otumanionego mózgu dotarło, że próbuję go uratować, na twarzy mężczyzny zakwitł pijacki uśmiech.

— Jesteś pan z nieba — oznajmił. — Będzie łatwo. Już zem rozbił te kamienie, teraz wystarczy je tylko usypać na kupę. Potem pojedziesz pan kawałek z tą taczka do kamieniołomu. Moje nazwisko Turnbull, Alexander Turnbull i robię tu siedem lat. Wcześniej dwadzieścia lat pasłem owce niedaleko Leithen Water. Znajomi mówią na mnie Lorneta albo Oko, bo mam te okulary. Z nadzorcą pan dużo nie gadaj, wystarczy się przedstawić, mówić „sir” i będzie zadowolony. Wrócę coś po południu.

Wziąłem jego okulary i obrzydliwie brudny kaszkiet, poprosiłem, żeby zabrał do domu mój płaszcz, kamizelkę i kołnierzyk. Zostawił mi również swoją śmierdzącą glinianą fajkę, która miała dodać mi wiarygodności. Raz jeszcze przypomniał, na czym polega moja praca i ruszył w kierunku wygodnego łóżka. Podejrzewałem, że poza pościelą, w domu czekają na niego również jakieś resztki na dnie flaszki. Modliłem się tylko, żeby zdążył tam dotrzeć, nim pojawią się tutaj moi przyjaciele.

Zacząłem się przygotowywać do pracy. Rozpiąłem koszulę pod szyją — była to zwyczajna koszulina w biało-niebieską kratę, jaką noszą oracze — i odsłoniłem opalony kark. Podwinąłem rękawy, świadom, że moje spalone słońcem i pokryte starymi bliznami przedramiona równie dobrze mogłyby należeć do kowala. Obsypałem pyłem buty i spodnie, a potem podwinąłem nogawki i obwiązałem je sznurkiem pod kolanami. W końcu zgarnąłem garść pyłu i zabrałem się za twarz. Wtarłem odrobinę brudu w kark, próbując wybrać te miejsca, do których pan Turnbull raczej nie docierał w czasie cotygodniowej kąpieli. Później rozproszylem kurz po policzkach. Każdy kamieniarz miał

przynajmniej odrobinę zaczerwienione oczy, pocierałem je więc brudnymi dłońmi, aż zamazał mi się obraz.

Kanapki, które dostałem na drogę od sir Harry'ego, zostały w kieszeni płaszcza, mogłem się jednak poczęstować śniadaniem kamieniarza owiniętym w czerwoną chustę. Z rozkoszą pochłonałem kilka grubych pajd z serem i napiłem się zimnej herbaty. W zawiniątku była również gazeta, wciąż obwiązana banderolą z nazwiskiem Turnbulla; bez wątpienia miała mu umilić popołudnie.

Wygląd butów wciąż mnie nie zadowalał, ale kopiąc kamienie i kurz przy drodze, doprowadziłem je do takiego stanu, że zaczęły przypominać pokryte zaschniętą warstwą brudu obuwie kamieniarza. Potarłem paznokciami o kamień, żeby sprawiały wrażenie spękanych i połamanych. Tropiący mnie ludzie na pewno nie przegapią żadnego szczegółu. Rozerwałem jedną sznurówkę i zawiązałem ją na niedbały węzeł, a drugą poluzowałem na tyle, by nad opadającą cholewką ukazała się szara skarpeta. Droga wciąż była pusta i zaczynałem wierzyć, że widziany przeze mnie pół godziny temu samochód musiał zawrócić.

Zakończywszy przygotowania, złapałem za taczkę i ruszyłem w stronę leżącego jakiegoś sto jardów dalej kamieniołomu.

Przypomniałem sobie pewnego starego tropiciela z Rodezji, którego życie zmusiło do wykonywania najdziwniejszych zajęć. Według niego sekret każdej udanej roli tkwił w oddaniu jej całego serca. Twierdził, że tylko przekonując samych siebie jesteśmy w stanie przekonać innych. Przestałem się więc zastanawiać nad wszystkim, co mnie trapiło i skupiłem myśli na pracy i kamieniach. Wyobraziłem sobie, że ta niewielka chatka nad potokiem to mój dom, pomyślałem o skrzypiącym łóżku i taniej whisky oraz o latach spędzonych na pastwiskach wokół Leithen Water. Na zakurzonym gościńcu wciąż nie było widać ani śladu żywego człowieka.

Od czasu do czasu gapiły się na mnie łażące wśród wrzosów owce. Nad głową przeleciał mi żuraw, który przycupnął na brzegu strumienia i traktując mnie równie obojętnie co przydrożny słupek, zabrał się do polowania na ryby. Pchałem przed sobą taczkę pełną kamieni niczym prawdziwy zawodowiec. Krew szybko zaczęła buzować mi w mięśniach, a na mojej twarzy zasychała warstwa pyłu. Z wolna odliczałem godziny dzielące pana Turnbulla od wieczora i zakończenia tej monotonnej

harówki. Nagle od strony drogi dobiegł mnie ostry głos i zobaczyłem niewielkiego dwumiejscowego forda, obok którego stał zażywny młodzieniec w meloniku.

— Alexander Turnbull? — zapytał. — Jestem nowym okręgowym nadzorcą dróg. Jako mieszkaniec Blackhopefoot zajmuje się pan odcinkiem pomiędzy Laidlawbyres i Riggs? Doskonale. Muszę przyznać, że to porządnie utrzymany kawałek drogi, całkiem zmyślnie zaprojektowany. Jakaś milę stąd nawierzchnia trochę rozmiękła i przydałoby się oczyścić rowy przydrożne, proszę o to zadbać. Miłego dnia życzę. Jak zjawię się tu następnym razem, to mnie już chyba pan pozna.

Najwyraźniej moje przebranie okazało się wystarczające, by wyprowadzić w pole nadzorcę, którego tak lękał się kamieniarz. Wróciłem do roboty, a kiedy nastało południe usłyszałem kolejne hałasy. Tym razem nadjechał piekarz, od którego kupiłem trochę imbirowych sucharów, które na wszelki wypadek poupychałem w kieszeniach spodni. Jakiś czas później minęło mnie stado owiec, prowadzone przez pasterza, który zaskoczył mnie donośnym pytaniem:

— A gdzie Lorneta?

— Śpi, kaca ma — odpowiedziałem, i pasterz ruszył w swoją drogę.

Około południa na wzgórzu pojawił się wielki samochód, który minął mnie i zatrzymał się jakieś sto jardów dalej. Wsiadła trójka mężczyzn; rozprostowawszy nogi, ruszyli w moją stronę.

Dwóch z nich widziałem już wcześniej przez okno w gospodzie w Galloway: jeden był szczupły, ogorzały i miał ostre rysy twarzy, podczas gdy drugi wciąż się uśmiechał i wydawał się zupełnie spokojny. Trzeci z nich widać pochodził z tych okolic — weterynarz być może lub któryś z uboższych gospodarzy. Nosił fatalnie skrojone gacie i mierzył mnie bystrym ptasim spojrzaniem jasnych oczu.

— Dobry — odezwał się wreszcie. — Niełatwą tu macie robotę, a?

Udawałem, że nie zwracam na nich uwagi i dopiero widząc, że do mnie podchodzą, wyprostowałem powoli grzbiet, jak przystało kamieniarzowi, i obyczajem prostych Szkotów splunąłem obficie. Przyglądałem im się przez chwilę w milczeniu, patrząc w trzy pary oczu, które nie przegapią żadnego drobiazgu.

— Robota jak robota — rzekłem sentencjonalnie. — Lepszejsze są i gorszejsze. Oczywiście, że lepiej bym wolał, jak wy, wozić zadek na

mięciuchnych poduszkach. To przez te wasze taksówki huk roboty przy drodze! Na mój rozum, gdyby w tym kraju były jakie prawidła, bogacze musi płacić za naprawy!

Jasnooki mężczyzna spojrzął kątem oka na gazetę leżącą obok zawiniątka pozostawionego przez Turnbulla.

— Widzę, że prasa dochodzi na czas — zauważył.

— Ta — potwierdziłem, również patrząc na pismo. — Jak zamówione. Ta jest akurat z tamtej soboty, sześć dni po czasie, patrz pan.

Mężczyzna podniósł gazetę, spojrzął na banderolę z adresem i odłożył na ziemię. Jeden z jego towarzyszy nie przestawał wpatrywać się w moje buty. Chwilę mówił po niemiecku, zwracając uwagę mojemu rozmówcy.

— Ma pan zacne trzewiki — oznajmił jasnooki. — Na pewno nie uszyto ich na wsi.

— Na pewno nie — zgodziłem się. — Są z Londynu. Odkupiłem je od dzentelmena, co zeszłego roku zajechał tu polować. Jak to on się nazywał...? — Podrapałem się po głowie z roztargnieniem.

Szczupły znów zaszwargotał w niemczyźnie.

— Jedźmy dalej — polecił. — Ten tu jest w porządku.

Zadali mi tylko ostatnie pytanie.

— Widział pan tu może kogoś dzisiejszego ranka? Może ktoś przejeżdżał na rowerze albo szedł pieszo?

Omam nie wpadłem w pułapkę, chcąc im opowiedzieć naprędce zmyśloną historię o rowerzyście, który przemknął tędy bladym świtem, ale w ostatniej chwili wyczułem niebezpieczeństwo. Udałem, że głęboko się zastanawiam nad pytaniem.

— Późno żem dziś wstał — odpowiedziałem w końcu. — Widzicie, moja córuchna wczoraj brała ślub i tak nam zeszło do rana. Wyszłem z domu bliży siódmej i nikogo żem wtedy na drodze nie widział. A jak tu cały dzień robię, to poza wami widziałem tylko piekarza i pasterza z Ruchill.

Jeden z nich poczęstował mnie cygarem o korzennym zapachu, które wsunąłem do zawiniątka Turnbulla. Wreszcie wsiedli do samochodu i po jakiś trzech minutach całkowicie straciłem ich z oczu.

Serce zabiło mi z ulgi, nie zaprzestałem jednak wożenia kamieni. Samochód wrócił dziesięć minut później, a jeden z pasażerów pomachał

do mnie przez okno. Ci dżentelmeni zdecydowanie nie pozostawiali niczego przypadkowi.

Zjadłem resztę śniadania Turnbulla, a później rozwiozłem resztę kamieni. Nadal nie wiedziałem, co powinienem zrobić. Nie mogłem ciągle udawać robotnika. Kamieniarz dzięki Bogu wciąż nie ruszał się z domu, ale mogłem spodziewać się kłopotów, gdy już wróci. Pamiętałem o nagonce nadciągającej od strony doliny — uciekając tam na pewno nie uniknę kolejnych pytań. Niemniej musiałem się stąd wydostać. Żaden człowiek nie wytrzyma bezustannego szpiegowania.

Zostałem na drodze do siedemnastej. Postanowiłem, że przeczekał do zmroku w domu Turnbulla i pod osłoną ciemności wymknę się przez wzgórze. Nagle na drodze pojawił się kolejny samochód, który zahamował jakieś dwa metry przede mną. Kierowca próbował zapalić papierosa, w czym przeszkadzały mu gwałtowne podmuchy wiatru. Był to spory turystyczny pojazd, załadowany bagażami aż po dach. Ze zdumieniem dostrzegłem w środku samotną, znajomą postać. Miałem przed sobą Marmaduke'a Jopleya, prawdziwą zakałą ludzkości. Nazywał się maklerem, ale w rzeczywistości jego praca polegała na bezustannym podlizywaniu się dziedzicom, młodym arystokratom i naiwnym starszym damom. Z tego, co wiedziałem, Marmie uwielbiał brylować podczas balów, zawodów polo i rautów w wiejskich posiadłościach, a zwęszywszy szansę na zarobek lub tytuł, nie wahał się pełzać na kolanach. Spotkałem się z nim kiedyś w Londynie w interesach, a po omówieniu wszystkich spraw, taktownie zaprosił mnie na kolację w swoim klubie. Na miejscu zaczął się popisywać koneksjami i bez ustanku głądził o znajomych arystokratkach, przyprawiając mnie tym snobizmem o mdłości. Rozpytywałem później wśród znajomych, czemu jeszcze nikt nie utarł mu nosa, na co usłyszałem w odpowiedzi, że Anglicy szanują słabszą płęć.

Tak czy inaczej był tu teraz, elegancki, w nowiusieńkim samochodzie, zapewne w drodze do któregoś ze swoich nadętych przyjaciół. Nagle przyszedł mi do głowy szalony pomysł i wskoczyłem na schodek samochodu, łapiąc się krawędzi dachu.

— Czołem, Jopley! — zawołałem. — Miło cię znów widzieć, przyjacielu.

Marmie pobladł na twarzy i zmierzył mnie przerażonym wzrokiem.



— Kim pan u diabła jest?! — wrzasnął.

— Nazywam się Hannay — przypomniałem. — Z Rodezji, pamiętasz?

— Mój Boże, morderca! — krzyknął zdławionym głosem.

— Być może. A jeśli nie zrobisz tego, o co cię poproszę, być może nawet dwukrotny morderca. Oddaj mi swój płaszcz. I czapkę.

Zrobił, co mu kazałem, oniemiały z przerażenia. Narzuciłem jego płaszcz na swoje brudne łachy i zapiąłem się aż po szyję, co pozwoliło ukryć brak kołnierzyka. Naciągnąłem czapkę na czoło i uzupełniłem przebranie o jego rękawiczki. Zakurzony robotnik w ułamku sekundy zmienił się w najszykowniejszego kierowcę w Szkocji. Wcisnąłem Jopleyowi na głowę brudny kaszkiet Turnbulla i powiedziałem, by go pod żadnym pozorem nie zdejmował.

Nie bez pewnych problemów udało mi się zawrócić jego samochód. Chciałem ruszyć w stronę, z której przyjechał, licząc na to, że nagonka, widząc po raz drugi ten sam pojazd, nie zwróci na niego uwagi, zwłaszcza, że obaj z Marmiem byliśmy podobnej postury.

— A teraz posłuchaj, drogie dziecko — pochyliłem się nad nim. — Siedź spokojnie i nie rób żadnych głupot. Nie stanie ci się krzywda. Pożyczam twój samochód na dwie godziny, potem ci go zwrócę. Spróbuj jednak tylko jakichś sztuczek albo odezwij się do kogoś, a przysięgam, że skrucę ci kark. Zrozumiano?

Wieczorna przejażdżka sprawiała mi sporą przyjemność. Przejechaliśmy jakieś osiem mil w głąb doliny, mijając po drodze nieliczne wioski. Moją uwagę przykuła grupka dziwnych ludzi odpoczywających na poboczu. Podejrzywałem, że to właśnie moi prześladowcy, którzy mieliby bez wątpienia wiele pytań, gdybym tylko pojawił się w innym przebraniu lub towarzystwie. Na szczęście przyglądali nam się bez żadnej podejrzliwości. Jeden z nich uniósł rękę do daszka czapki, na co odpowiedziałem uprzejmym pozdrowieniem.

Po zmroku skręciłem na ścieżkę, która zgodnie z tym, co zapamiętałem z mapy, prowadziła do najmniej uczęszczanych wzgórz. Wkrótce pozostawiliśmy za sobą ostatnie wioski i zabudowanie gospodarcze, zniknęły nawet samotne chaty. Gdy dotarliśmy do bezludnego wrzosowiska, noc gasiła ostatnie promienie słońca odbijające się w lustrach mokradeł. Zawróciłem samochód i oddałem

panu Jopleyowi jego własność.

— Tysięczne dzięki — rzuciłem na pożegnanie. — Okazało się, że nawet ty możesz być czasem przydatny. A teraz zmiataj i nie zapomnij powiadomić policji.

Przysiadłem na zboczu, patrząc na oddalające się światła pojazdu i rozmyślając nad rozlicznymi zbrodniami, jakich udało mi się popełnić. Wbrew powszechnej opinii nie byłem co prawda mordercą, stałem się jednak wierutnym kłamcą, bezczelnym oszustem i przydrożnym rabusiem obdarzonym szczególną predylekcją do luksusowych samochodów.

## 6. Przygoda z łysym archeologiem

Spędziłem noc w porośniętym długimi, miękkimi wrzosami załomie na zboczu wzgórza, osłonięty od wiatru sporym głazem. Zamarzłem przeraźliwie, ponieważ moja marynarka i kamizelka wciąż były u Turnbulla, podobnie zresztą jak notatnik Scuddera, mój zegarek i — co najgorsze — kapciuch oraz fajka. Miałem przy sobie tylko pieniądze ukryte w pasku spodni oraz kilka imbirowych sucharów upchniętych po kieszeniach.

Zjadłem mniej więcej połowę zapasów i umościłem się ponownie w gęstych wrzosach, znajdując wśród nich odrobinę ciepła. Poczułem się nieco podniesiony na duchu, a ta cała szalona zabawa w chowanego właściwie zaczynała mi się podobać. W końcu jak dotąd dopisywało mi niesamowite szczęście. Choć na to nie zasługiwałem, opatrność co rusz podsuwała mi ratunek: mleczarza, czytanego oberżystę, sir Harry'ego, kamieniarza oraz tego idiotę Marmiego. Początkowe sukcesy dodały mi sił i pozwalały wierzyć, że jakoś się z tego wykaraskam.

Najgorsze było to, że nękał mnie przeraźliwy głód. Czytając o samobójstwach wśród Żydów z City, zwykle trafiałem w gazetach na informację, że ofiara wyglądała na „dobrze odżywioną”. Podejrzywałem, że jeśli znajdą mnie z przetrąconym karkiem w bagnie, nikt o mnie tak wtedy nie napisze. Po sucharach zostało jedynie ssące wspomnienie w żołądku, leżałem więc torturując się myślami o najlepszym jedzeniu w Londynie, któremu swego czasu nie poświęcałem żadnej uwagi. Przypomniało mi się, jak kręciłem nosem na chrupiące kiełbaski, cieniutkie skrawki bekonu i jaja w koszulkach przygotowywane przez Paddocka. Moja dusza tęskniła za klubowymi zrazami i wyborną szynką, którą zawsze dało się znaleźć w bufecie, a wspomniawszy tysięczne potrawy, skupiłem się ostatecznie na befsztyku z polędwicy, kuflu gorzkiego piwa i potrawce z królika po walijsku. Zapadłem w sen, wciąż dręczony wspomnieniem tych specjałów.

Obudziłem się przemarznięty i zeszywniały godzinę po wschodzie słońca. Przez chwilę, nadal otumaniony zmęczeniem, nie potrafiłem sobie przypomnieć, gdzie jestem. Pomiedzy plątaniną wrzosów mogłem

dostrzec skrawek bladoniebieskiego nieba, fragment zbocza i moje buty ustawione obok krzaka borówek. Oparłem się na łokciach i spojrzałem w głąb doliny, a to, co zobaczyłem, wystarczyło, bym sekundę później w szalonym pośpiechu zaczął wkładać buty.

Nagonkę dzieliło nie więcej niż ćwierć mili od mojej kryjówki; mężczyźni rozproszyli się po zboczu na kształt wachlarza, uważnie przeczesując wrzosowisko. Marmie najwyraźniej postanowił nie zwlekać z zemstą.

Wychyłem z załomu, kryjąc się za głazem, i przekradłem się do płytkiego jaru przecinającego zbocze. Tą drogą dotarłem do wąskiego parowu i przeskoczywszy nad strumieniem wdrapałem się na grzbiet wzgórza. Spojrzałem za siebie i zobaczyłem, że tropiciele nie wpadli na mój ślad i nadal krążyli wśród wrzosowisk, posuwając się w górę zbocza.

Przebiegłem jakieś pół mili, korzystając z osłony, jaką zapewniał grzbiet wzgórza, aż w końcu znalazłem się w najwyższych partiach doliny. Natychmiast zostałem zauważony przez jednego z prześladowców, który wskazał mnie swoim kompanom. Usłyszałem ich wołania dochodzące z głębi doliny i zobaczyłem, że nagonka zmieniła kierunek. Ponownie skryłem się za grzbietem wzgórza, jakbym zamierzał uciekać w pierwotnie obranym kierunku, ale natychmiast zawróciłem i po dwudziestu minutach znów znalazłem się tuż nad załomem, w którym schroniłem się ostatniej nocy. Z tego miejsca rozciągał się doskonały widok na tropiciele, a ci wdrapywali się na szczyt wzgórza, kompletnie skołowani moim manewrem.

Mając do wyboru kilka dróg, zdecydowałem się na wędrowkę grzbietem prostopadłym do tego, na którym się znajdowałem i już wkrótce od moich prześladowców dzieliła mnie kolejna głęboka dolina. Ucieczka sprawiła, że krew zaczęła żywiej pulsować w moich żyłach i musiałem przyznać, że naprawdę świetnie się bawiłem. Idąc przed siebie, zjadłem ostatnie okruchy imbirowych sucharów.

Nic nie wiedziałem o tej okolicy, ani dokąd iść. Całą nadzieję pokładałem w wytrzymałości moich nóg, miałem jednak świadomość, że tropiący mnie ludzie doskonale znają ten teren, co dawało im sporą przewagę. Przede mną rozciągało się morze pofalowanych wzgórz, które na południu strzelały ku niebu, na północy zaś ich grzbiety stawały się coraz łagodniejsze, przechodząc w końcu w szerokie i płytkie wądoły.

Grzbiet, którym szedłem, po jakiejś mili lub dwóch przekształcał się we wrzosowisko wrzynające się pomiędzy pagórki. Równie dobrze mogłem dalej podążać w tamtą stronę.

Ta strategia zapewniła mi około dwudziestu minut przewagi i zdążyłem dojść do drugiego krańca doliny, nim dostrzegłem głowy prześladowców. Policja najwyraźniej zwróciła się o pomoc do miejscowych, mężczyźni poruszali się bowiem po tym terenie z wprawą pasterzy lub myśliwych. Widząc mnie, znów zaczęli się nawoływać, a ja pomachałem im ręką. Dwóch z nich natychmiast zaczęło się wspinać na moje wzgórze, podczas gdy pozostali trzymali się własnych ścieżek. Nie potrafiłem się pozbyć wrażenia, że biorę udział w szkolnych podchodach.

Musiałem to jednak potraktować poważniej. Ścigający mnie mężczyźni znali tę okolicę jak własną kieszeń i byli pełni sił. Spojrzałem za siebie i zobaczyłem trzech ludzi idących w ślad za mną, domyśliłem się więc, że reszta spróbuje mnie otoczyć. Brak orientacji w terenie działał na moją niekorzyść, uznałem zatem, że najlepiej będzie wydostać się z tej płataniny jarów i parowów i spróbować dotrzeć do wrzosowiska, które zauważyłem z grzbietu wzgórza. W tym celu konieczne stało się odsadzenie pogoni. Wierzyłem, że jestem do tego zdolny, wystarczyłby mi odpowiedni teren. Mógłbym się skradać, ale na tych nagich zboczach nie ukryłaby się nawet mucha. Cała nadzieja w długich nogach i pojemnych płucach; nie będąc jednak góralem, potrzebowałem do tego w miarę równej nawierzchni. Nagle odezwała się we mnie tęsknota za wytrzymałymi afrykańskimi kucami.

Zerwałem się do biegu i zanim na horyzoncie pojawiły się sylwetki moich prześladowców, popędziłem w dół zbocza, ku wrzosowisku. Przeskoczyłem nad potokiem i wgramoliłem na drogę, wijącą się pomiędzy dolinami. Przed sobą miałem wrzosowisko, które stopniowo przechodziło w górski stok, zwieńczony pióropuszem dziwacznych drzew. Na poboczu po prawej stronie zauważyłem coś w rodzaju bramy, za która rozpoczynała się wydeptana ścieżka prowadząca przez wrzosowiska.

Przeskoczywszy nad rowem melioracyjnym, ruszyłem w tamtą stronę, a kilkaset jardów dalej, kiedy straciłem już z oczu drogę, trawiasta ścieżka ustąpiła miejsca wyraźnie zadbanej ubitej nawierzchni. Nowa droga najwyraźniej kierowała się do jakiegoś domu i zacząłem się

zastanawiać, czy aby tam nie ruszyć. Jak dotąd sprzyjało mi szczęście, więc kto wie, być może właśnie odludne domostwo mogło zwiększyć moją szansę na ucieczkę. Tak czy inaczej, rosły tam również drzewa zapewniające schronienie.

Ruszyłem łożyskiem potoku płynącego po prawej stronie drogi i skorzystałem z osłony zapewnianej przez rosnące na wysokich brzegach paprocie. Okazało się to doskonałym pomysłem, ponieważ kiedy tylko spojrzałem za siebie, zobaczyłem, że pierwsi tropiciele dotarli już na grzbiet wzgórza. Nie miałem czasu, żeby im się przyglądać. Pogałem przed siebie, schylając się nisko w odsłoniętych miejscach i brodząc w płytkich wodach strumienia. W końcu dotarłem do samotnej chaty. Ziemię wokół opuszczonego budynku znaczyły ślady po składowaniu torfu, a w ogrodzie bujnie rozpleniły się chaszczce. Wbiegłem pomiędzy stosy świeżego siana, a chwilę później dopadłem krawędzi jodłowego zagajnika. Po swojej lewej dostrzegłem smużkę dymu unoszącą się nad budynkiem, od którego dzieliło mnie kilkaset jardów. Porzuciłem strumień, przeskoczyłem kolejny rów i zanim zdążyłem się zorientować, znalazłem się na zaniedbanym trawniku. Rzut oka za siebie podpowiedział mi, że zgubiłem pościg, który nadal przedzierał się przez wrzosowisko.

Trawnik pod moimi stopami traktowano raczej kosą niż kosiarką, gdzieś tam widać było również kępki karłowatych rododendronów. Z ziemi poderwała się parka cietrzewi; w zadbanych ogrodach raczej nie hoduje się tego rodzaju ptactwa. Sam dom okazał się zwyczajną farmą, do której dobudowano pokryte białym tynkiem skrzydło z przeszkloną werandą. Przez jej szyby spoglądał na mnie z dobrotliwym uśmiechem jakiś staruszek.

Przekradłem się w pobliże domu skrajem zwirowanej ścieżki i otwarłem drzwi werandy. Ścianę na wprost wypełniały regały z książkami, jeszcze więcej książek znalazłem w sąsiednim pokoju. Brakowało stołów, za to w pomieszczeniu roiło się od muzealnych gablot, w których leżały monety i dziwaczne kamienne narzędzia.

Pośrodku stało niewielkie biurczko i to właśnie przy nim, otoczony papierami i otwartymi tomiszczami, siedział ów dobroduszny człowiek, którego dostrzegłem przez okno. Jego okrągłe i błyszczące oblicze przywodziło na myśl Pickwicka, na czubku nosa kołysały mu się grube

okulary, a łysa głowa lśniła niczym wypolerowane szkło. Widząc mnie, uniósł tylko brew i spokojnie czekał, aż odezwę się pierwszy.

Miałem pięć minut na to, by powiedzieć kim jestem, czego chcę i przekonać go, że powinien pomóc obcej osobie. Niełatwe zadanie, więc nawet nie próbowałem. Patrzył na mnie z taką uwagą i przenikliwością, że nie potrafiłem dobrać słów. Zamiast tego gapiłem się nań, mamrocąc coś niewyraźnie.

— Wygląda na to, że strasznie ci się spieszy, przyjacielu — zauważył w końcu spokojnym głosem.

Skinąłem głową w stronę okien. Rozciągał się z nich widok aż na wrzosowiska, po których jakieś ćwierć mili od domu poruszały się niewyraźne figury, zmierzające w stronę domu.

— Rozumiem. — Mężczyzna sięgnął po leżącą w pobliżu lornetkę i przyjrzał się uważnie nadciągającym postaciom.

— Próbuje pan umknąć przed sprawiedliwością? — zapytał. — A zresztą... porozmawiamy o tym w dogodnej dla pana chwili. Teraz muszę zapobiec naruszeniu mojej prywatności przez bandę policjantów. Proszę przejść przez mój gabinet, znajdzie pan dwoje drzwi, niech pan wybierze te po lewej stronie i zamknie je za sobą. Będzie pan tam całkowicie bezpieczny.

Co powiedziawszy, ponownie sięgnął po pióro i pochylił się nad papierami.

Zrobiłem, jak mi kazał. Trafiłem do niewielkiego, ciemnego pomieszczenia wypełnionego wonią chemikaliów. Jedyne światło zapewniało okienko tuż pod sufitem. Drzwi zamknęły się za mną z głośnym trzaskiem, niczym wrota sejfu. Ponownie znalazłem niespodziewaną kryjówkę. Tym razem jednak nie czułem się w niej komfortowo. Goszczący mnie staruszek był nazbyt tajemniczy i budził przerażenie. Wszystko poszło zbyt łatwo; jakby się mnie spodziewał. A inteligencja kryjąca się w jego spojrzeniu wywoływała ciarki na plecach.

Z zewnątrz nie docierały do mnie żadne dźwięki. Gdyby policjanci postanowili przeszukać dom, a z tego, co wiedziałem, byli do tego zdolni, na pewno zechcą wiedzieć, co kryje się za tymi drzwiami. Pozostało mi uzbroić się w cierpliwość i postarać się zapomnieć o dręczącym mnie głodzie.

Skupiłem się na weselszych myślach. Staruszek na pewno nie

odmówi mi poczęstunku, a ja chętnie zjadłbym prawdziwe śniadanie. Zadowolilibym się jajkami i bekonem, pod warunkiem, że bekon składałby się wyłącznie z tłuszczu, a jaj byłoby pół setki. Wciąż śliniłem się do tych myśli, gdy usłyszałem trzask zamka i drzwi otwały się na oścież.

Wyszedłem do rozświetlonego słońcem pomieszczenia, które siedzący przede mną w głębokim fotelu właściciel domu nazywał gabinetem. Mężczyzna przyglądał mi się z nieskrywaną ciekawością.

— Poszli sobie? — zapytałem.

— Poszli. Przekonałem ich, że przeciął pan wzgórze. Nie lubię, gdy policja pozbawia mnie towarzystwa znamienitych gości. Dzisiejszy ranek może pan zaliczyć do szczęśliwych, Richardzie Hannayu.

Podczas przemowy spoglądał na mnie spod lekko przymrużonych powiek, kryjących zielone, czujne oczy. W ułamku sekundy przypomniałem sobie opowieść Scuddera o najbardziej przerażającym człowieku na świecie. Twierdził, że mężczyzna ów miał spojrzenie niczym jastrzęb. Dotarło do mnie, że wkroczyłem w paszczę lwa.

W pierwszym odruchu chciałem się rzucić na tego starego bandziora i wywlec na zewnątrz, on jednak to przewidział. Z delikatnym uśmiechem skinął głową w stronę drzwi za moimi plecami. Odwróciłem się i zobaczyłem dwóch służących mierzących do mnie z broni.

W moim umyśle pojawiła się pewna myśl. Mężczyzna znał moje nazwisko, ale nigdy wcześniej mnie nie widział. Dawało mi to cień szansy.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi — odparłem szorstko. — I nie wiem, dlaczego bierze mnie pan za jakiegoś Hannaya. Nazywam się Ainslie.

— I cóż z tego? — uśmiechnął się mężczyzna. — Przecież wiem, że ma pan różne nazwiska. Wcale nie zamierzam się z tego powodu sprzeczać.

Próbując zebrać się w garść, doszedłem do wniosku, że moje odzienie — wciąż bez płaszcza, kamizelki i kołnierzyka — na pewno mnie nie zdradza. Przybrałem więc jak najpewniejszą minę i wzruszyłem ramionami.

— Pewnie po wszystkim i tak mnie wydacie. Już ja znam te brudne sztuczki. Na Boga, obym nigdy nie zobaczył tego przeklętego samochodu!



Proszę! — Rzuciłem na stół cztery suwereny. — Masz pan swoje pieniądze i idź pan do diabła!

— O nie! — Mężczyzna otworzył oczy nieco szerzej. — Nie mam zamiaru na pana donosić. To sprawa pomiędzy panem i nami. Wie pan zbyt wiele, panie Hannay. Niezły z pana aktor, ale to nie wystarczy.

Wypowiadał kolejne słowa z wielką pewnością, ale widziałem, że udało mi się zasiać ziarenko wątpliwości.

— Jezu Chryste, skończże już pan mleć ozorem — wpadłem mu w słowo. — Wszystko się sprzysięgło przeciw mnie. Od kiedy tylko znalazłem się w Leith, szczęście zupełnie mnie opuściło. I komu niby szkodzi, że jakiś głodny żebrak zabrał sobie parę groszy z rozbitego samochodu? To cała moja wina, a od dwóch dni muszę kluczyć jak zajęc po tych cholernych górach, uciekając przed cholernymi glinami! Mam już tego potąd! Możesz robić ze mną co chcesz, staruchu. Ned Ainslie stracił ducha do tej zabawy.

Jego wątpliwości wyraźnie zaczęły narastać.

— Zechciałby pan opowiedzieć mi o swoich ostatnich poczynaniach? — zapytał.

— Nie dam rady, szefie — jęknąłem jak najprawdziwszy żebrak. — Od dwóch dni nie miałem niczego w gębie. Dajcie mi pan coś do jedzenia, a wyznam całą prawdę jak na spowiedzi.

Głód widocznie odcisnął swoje piętno na mojej twarzy, ponieważ mężczyzna skinął głową na jednego ze służących, którzy wciąż stali przy drzwiach. Chwilę później stanął przede mną zimny pasztet oraz kufel piwa, z którymi rozprawiłem się jak świnia — a raczej niczym Ned Ainslie, ponieważ nie wychodziłem z roli. W połowie posiłku mój gospodarz powiedział coś po niemiecku, ale zareagowałem na to bezmyślnym spojrzeniem.

Po jedzeniu zrelacjonowałem mu swoją historię. Mówiłem o tym, jak tydzień temu zszedłem z pokładu „Archanioła” w Leith i wyruszyłem, by spotkać się z bratem w Wigtown. Wspomniałem, że skończyły mi się pieniądze, sugerując dyskretnie, że większość z nich przepiłem, i wyjaśniłem, jak natrafiłem na wielką wyrwę w przydrożnych krzakach, za którymi leżał w strumieniu wielki samochód. Pomyszkowałem trochę i znalazłem trzy suwereny na fotelu kierowcy i jeden, który spadł na podłogę. Jako że w pobliżu nie było ani śladu właściciela, wsadziłem

monety do kieszeni. Władza jednak musiała coś zwęszyć. Kiedy próbowałem rozmiąć suwera w piekarni, właścicielka zaczęła wrzeszczeć, że zawoła policję. Chwilę później myłem twarz w przydrożnym strumieniu, gdy nagle ktoś złapał mnie od tyłu i tylko cudem udało mi się uciec, pozostawiając za sobą płaszcz i kamizelkę.

— Zatrzymajcie sobie te pieniądze — dodałem. — I tak nic dobrego mi z nich nie przyszło. Biednemu wiatr zawsze w oczy. Gdyby to pan znalazł te monety, nikt by panu nie zawracał głowy.

— Jest pan wybornym kłamcą, Hannay — uśmiechnął się mężczyzna.

— A daj pan już spokój! — wybuchnąłem gniewem. — Ile razy mam powtarzać, że nazywam się Ainslie i nigdy w życiu nie słyszałem o żadnym Hannayu! Już chyba wolałbym wpaść w łapy glin niż wysłuchiwać tych bredni i patrzeć na małpę z pistoletem... Pan wybaczy, szefie, nie chciałem pana obrazić. Jestem naprawdę wdzięczny za poczęstunek i prosiłbym, żeby pozwolił mi pan spokojnie odejść, skoro niebezpieczeństwo minęło.

Jego zakłopotanie stawało się coraz wyraźniejsze. Musicie pamiętać, że nigdy wcześniej mnie nie widział, a w tym momencie na pewno nie wyglądałem jak na fotografiach, które zapewne mu dostarczono. W Londynie nosiłem eleganckie garnitury, a teraz przypominałem włóczęgę.

— Nie mam zamiaru pana wypuszczać — oznajmił. — Jeśli jest pan tym, za kogo się podaje, cała sprawa wkrótce się wyjaśni. A jeśli to ja mam rację, niezbyt długo nacieszy się pan widokiem słońca.

Sięgnął po dzwonek, przyzywając trzeciego sługę, który nadszedł od strony werandy.

— Za pięć minut będę potrzebował samochodu — polecił. — Na obiedzie zjawią się dziś trzy osoby.

Spojrzał na mnie, co okazało się najcięższą z dotychczasowych prób.

W tych dziwacznych oczach kryło się coś lodowatego, dzikiego i diabelnie przebiegłego. Fascynowały mnie niczym blade oczy węża. Z trudem zwalczałem pokusę zdania się na jego litość i przyłączenia się do spisku. Patrząc z dystansu na to, co w tamtej chwili czułem, wiem, że impuls ten pochodził z jego psychiki, a mój osłabiony umysł został zahipnotyzowany przez człowieka o wiele silniejszego duchem. Udało mi

się jednak temu oprzeć i odpowiedzieć uśmiechem.

— Jeszcze będzie miał pan mnie okazję lepiej poznać, szefie — obiecałem.

— Karl — zwrócił się po niemiecku do jednego z służących. — Odprowadź go do magazynu. Ręczysz za niego głową.

Zostałem wyprowadzony na zewnątrz pod lufami pistoletów.

Magazyn okazał się wilgotnym pomieszczeniem na tyłach starej wiejskiej chaty. Na nierównej kamiennej podłodze stała pojedyncza szkolna ława. Przez zabezpieczone okiennicami okna nie przedostawał się nawet promień światła. Macając wokół siebie natrafiłem na skrzynie, beczki i worki wypełnione czymś ciężkim. W powietrzu unosił się zapach kurzu i pleśni. Usłyszałem zgrzyt klucza w zamku i szuranie stóp mojego dozorczy, który ustawił się na straży przed drzwiami.

Zmarznięty i przygnębiony, usiadłem na kamieniach. Starzec bez wątpienia posłał po tych dwóch, którzy wpadli na mnie wczoraj i zapamiętali jako kamieniarza. Na pewno zostaną rozpoznany, a nie miałem pomysłu, jak wyjaśnić, co robię dzień później dwadzieścia mil od miejsca, w którym mnie spotkali, na dodatek ścigany przez policję. Jedno lub dwa pytania i natychmiast się zorientują. Rozmawiali już zapewne z Turnbullem, być może udało im się również pogadać z Marmiem. Istniało duże prawdopodobieństwo, że zdołali mnie połączyć również z sir Harrym, co oznaczałoby, że wiedzą o wszystkim. Moja szansa na przeżycie spotkania z tymi trzema bandziorami i ich uzbrojonymi sługusami zmniejszała się z każdą chwilą.

Jedyna nadzieja w policji, która wciąż przeczesywała wzgórze. Rodacy i uczciwi ludzie będą chyba dla mnie bardziej litościwi niż ci upiorni cudzoziemcy. Ale zapewne by mi nie dali wiary. W końcu starzec o diabelskim spojrzeniu pozbył się ich bez najmniejszego problemu, a zatem mógł mieć jakiś wpływ na ich przełożonych. Nie zdziwiłbym się, gdyby gabinety ministerstw wystawiły listy zezwalające mu na spiskowanie przeciw Anglii. Polityka w Starym Kraju krążyła wieloma tajemnymi ścieżkami.

Do obiadu i przyjazdu całej trójki zostało parę godzin. Nie widząc wyjścia z tej matni, czekałem na nieunikniony koniec. Żałowałem, że brak mi odwagi Scuddera i mogę przyznać, że hart ducha całkowicie mnie opuścił. Przy zdrowych zmysłach trzymał mnie gniew. Gotowałem

się z wściekłości na myśl o tym, jak łatwo ci szpiedzy sobie ze mną poradzili. Miałem nadzieję, że złamię któremuś kark, zanim zdołają się mnie pozbyć.

Im bardziej o tym myślałem, tym większa wypełniała mnie złość. Zacząłem krążyć po ciemnym pomieszczeniu. Zbadałem okiennice, ale do ich otwarcia potrzebowalibyśmy klucza. Z zewnątrz dobiegało ciche gdakanie kur wygrzewających się na słońcu. Sprawdziłem otaczające mnie skrzynie, a nie potrafiąc ich otworzyć, obmacałem kilka worków, które wypełniało coś podobnego do psiej karmy, ale o zapachu cynamonu. Krążąc po całym pomieszczeniu, w pewnym momencie namacałem klamkę.

Za drzwiami kryła się szafa wnękowa, zwana przez Szkotów bieliźniarką. Szarpnąłem za klamkę i uznałem, że uda się ją otworzyć, ale potrzebowalem do tego większej siły, owinąłem więc klamkę moimi szelkami i pociągnąłem. Zamek wyłamał się z takim trzaskiem, że przez chwilę stałem w milczeniu, spodziewając się nadejścia strażników. W końcu zabrałem się za sprawdzanie wnętrza szafki.

Znalazłem tam wiele zdumiewających rzeczy, a kiedy zapaliłem wygrzebaną z kieszeni spodni zapałkę, mój wzrok padł na leżące na półce latarki. Sięgnąłem po jedną z nich; działała. Przyświecając sobie, szukałem dalej. Natknąłem się na butelki z ostro pachnącymi chemikaliami, służącymi bez wątpienia do jakichś eksperymentów, zobaczyłem zwoje miedzianego drutu i całe bele natłuszczonego jedwabiu. Było tam pudło z detonatorami i mnóstwo sznurka na lonty. Na tyłach odkryłem solidne kartonowe pudło, a w nim drewnianą skrzyneczkę. Udało mi wyłamać jej wieko i odkryć kilkanaście niewielkich kostek szarej masy.

Wziąłem jedną z nich i stwierdziłem, że z łatwością mogę ją rozkruszyć w palcach. Przytknąłem do niej koniuszek języka oraz powąchałem. Później usiadłem, żeby pomyśleć. Lata pracy w górnictwie pozwalały mi na pierwszy rzut oka rozpoznać lentonit.

Wystarczyłaby jedna kostka, by wysadzić cały ten budynek w powietrze. Poznałem ich moc w rodezyjskich kopalniach. Problem w tym, że nie pamiętałem dokładnych proporcji ani właściwego sposobu przygotowania ładunku, nie wiedziałem również, jak długi powinienem uciąć lont. Nigdy osobiście się tym nie zajmowałem i moje wyobrażenie o

potędze tego materiału należało do oględnych.

Nie pozostało mi nic innego, to była jedyna szansa. Chcąc uniknąć ponurego końca, musiałem podjąć ogromne ryzyko. Doprowadzając do eksplozji, miałem pięćdziesiąt procent szans, że moje szczątki nie ozdobią okolicznych drzew, ale w przeciwnym razie na sto procent — nim jeszcze minie wieczór — skończę sześć stóp pod ziemią w ogrodzie. Tak właśnie do tego podchodziłem. Moja przyszłość w obu przypadkach rysowała się ponuro, ale przynajmniej miałem szansę pomóc sobie i mojej ojczyźnie.

Ostatecznie postanowiłem to zrobić ze względu na Scuddera. Jego śmierć wiązała się z jedną z najgorszych chwil w moim życiu, nie przywykłem bowiem do tak bezlitosnych rozwiązań. W końcu udało mi się wziąć w garść i stłumić straszliwe wątpliwości, jakie mnie opadły. Przestałem rozważać konsekwencje i zabrałem się do tego, jak do przygotowania pokazu fajerwerków w dzień pamięci Guya Fawkesa.

Znalazłem detonator i przymocowałem do niego długi lont, po czym rozkruszyłem kostkę lentonitu i wepchnąłem ćwiartkę ładunku w zasłoniętą workiem szczelinę w podłodze, tuż przy drzwiach, doprowadzając do niej drugi koniec sznurka. Właściwie z tego, co się orientowałem, w połowie stojących wokół mnie skrzyń również mógł się znajdować materiał wybuchowy. Ktoś, kto trzymał lentonit w bieliźniarce, był zdolny do wszystkiego. W takim wypadku czekała mnie widowiskowa podróż ku niebu w towarzystwie niemieckich służących i hektara okolicznej ziemi. Istniało również niebezpieczeństwo, że eksplozja wywoła reakcję łańcuchową z pozostałymi ładunkami lentonitu, nie pamiętałem bowiem, jakie należało zachować zasady bezpieczeństwa. W końcu przestałem się nad tym zastanawiać. Wiedziałem, że mam nikłe szanse, ale musiałem podjąć ryzyko.

Przykucnąłem pod parapetem i zapaliłem lont. Przez chwilę czy dwie panowała grobowa cisza, w której słyhać było jedynie szuranie kroków za drzwiami i gdakanie kur. Zawierzyłem swoją duszę Stwórcy, zastanawiając się, gdzie będę za pięć sekund...

Z podłogi wystrzelił słup gorąca, który na chwilę zawisł w powietrzu. Przeciwległa ściana rozjarzyła się złocistym blaskiem i zniknęła na moich oczach z ogłuszającym hukiem, od którego mój mózg zamienił się w papkę. Poczułem, że jakiś ciężar uderza mnie w lewe

ramię.

A potem chyba straciłem przytomność.

Nie trwało to jednak dłużej niż kilka sekund, bo chwilę później zacząłem się dławić trującymi oparami i z mozołem podniosłem się z zaścielonej gruzem podłogi. Za sobą wyczuwałem podmuchy świeżego powietrza. Spojrzałem tam i dostrzegłem dym uchodzący przez dziurę po oknie, które wypadło wraz z framugą. Przedarłem się tamtędy na zewnątrz i znalazłem się w kłębach żrących, żółtawych oparów. Czułem się fatalnie, ale szedłem na oślep przed siebie, jak najdalej od domu.

Wpadłem na niewielkie drewniane koryto, którym po drugiej stronie podwórza doprowadzano wodę do młyna. Zimna woda przyniosła orzeźwienie, ponownie więc zerwałem się do ucieczki. Wskoczyłem do koryta i ruszyłem wzdłuż pokrytych zielonkawym śluzem ścian, docierając w końcu do młyńskiego koła. Do budynku wcisnąłem się pomiędzy skrzydłami wiatraka, a tam wpadłem w plewy. Na wystającym gwoździu rozdarłem siedzenie spodni i zostawiłem za sobą kawałek tkaniny.

Młyn sprawiał wrażenie opuszczonego od dawna. Wszystkie drabiny przegniły, a nad imponującymi dziurami w podłodze musiały pracować całe pokolenia szczurów. Wciąż czułem mdłości i huczało mi w głowie, a moje lewie ramię było całkowicie odrętwiałe. Wyglądając przez lufcik, zobaczyłem, że z okna wciąż unosi się dym, a nad domostwem wisi żółta mgła. Krzyki dobiegające z drugiej strony budynku pozwalały mieć nadzieję, że z Bożą pomocą udało mi się wywołać pożar.

Brakowało mi jednak czasu, aby się nad tym zastanawiać. Młyn zdecydowanie nie nadawał się na kryjówkę. Kiedy tylko odkryją, że nie zginąłem w magazynie, to każdy, kto ruszy w pościg, natychmiast zrozumie, że wymknąłem się korytem i ruszy w tę stronę. Spojrzałem przez drugie okno i zauważyłem stary kamienny gołębnik. Gdyby udało mi się do niego przekraść, nie pozostawiwszy za sobą żadnych śladów, moi prześladowcy mogliby uznać, że zbiegłem przez pola i rozpoczną poszukiwania na wrzosowisku.

Zsunąłem się po chybotałej drabinie i rozrzuciłem za sobą plewy, aby zatrzeć ślady. Podobnie postąpiłem na dole i przy wyłamanych drzwiach młyna. Pomiedzy mną a gołębnikiem rozciągało się brukowane podwórze, nie musiałem więc się obawiać pozostawienia tropów, sam

młyn zaś zapewniał mi osłonę przed wzrokiem tych, którzy przyszliby od strony domu. Przemknąłem się błyskawicznie i stanąłem na tyłach gołębnika, gdzie starałem się odkryć, którędy mogę wdrapać się na górę.

Okazało się to jednym z najcięższych zadań w moim życiu. Ramię bolało mnie jak diabli i wciąż byłem otumaniony eksplozją do tego stopnia, że w każdej chwili groził mi upadek. Jakimś cudem udało mi się tego jednak dokonać. Łapiąc się wystających kamieni, wpychając place w szczeliny i czepiając się bluszczu w końcu dotarłem na sam szczyt. Znalazłem tam niewielką balustradę, za którą się położyłem i po raz kolejny staromodnie zemdlałem.

Obudziły mnie promienie słońca na twarzy i pękająca z bólu głowa. Przez długą chwilę leżałem zupełnie nieruchomo, przekonany, że mordercze opary sprowadziły na mnie paraliż i osłabienie umysłu. Od strony domu dobiegały krzyki mężczyzn i warkot samochodu. Z trudem odwróciłem się na bok i spojrzałem przez niewielką szparę w balustradzie, z której roztaczał się widok na fragment podwórza. Zobaczyłem służącego z obandażowaną głową i młodzieńca w pumpach. Czegoś szukali i szli w stronę młyna. Nagle jeden z nich zauważył strzępek materiału na gwoździu i natychmiast przywołał kompana. Obaj zawrócili w kierunku domu, a chwilę później pojawili się ponownie, prowadząc dwóch kolejnych. Wydawało mi się, że rozpoznaję korpulentną figurę mojego ostatniego prześladowcy oraz sepleniącego człowieka z gospody. Wszyscy trzymali pistolety.

Przeszukanie młyna zajęło im dobre pół godziny. Słyszałem rumor roztrzaskiwanych beczek i wyłamywanych desek. W końcu wyszli na zewnątrz i stanęli pod gołębnikiem, gwałtownie się o coś spierając. Najmocniej oberwało się służącemu z obandażowaną głową. Słyszałem, jak któryś z nich siłuje się z drzwiami gołębnika i przez chwilę zmartwiałem ze strachu, że mnie znajdą. Na szczęście dali sobie spokój i wrócili do domu.

Leżałem na dachu przez całe popołudnie, smażąc się w promieniach słońca. Pragnienie odbierało mi zmysły. Język zamienił mi się w kołek, a fakt, że słyszałem szum wody płynącej przy młynie w niczym nie polepszał mojej sytuacji. Patrząc na niewielki strumyk wijący się przez wrzosowisko, wędrowałem w myślach wzdłuż jego brzegów, docierając w końcu do doliny, w której mieściło się źródło, fontanna krystalicznej,

lodowatej wody, tryskająca wśród paproci i mchów.

Z dachu gołębnika miałem doskonały widok na okolicę. Widziałem samochód odjeżdżający z dwójką pasażerów i samotnego człowieka, który wyruszył konno na wschód. Domyślając się, że wysłano ich w pościg za mną, życzyłem im w myślach powodzenia.

Nagle zobaczyłem coś, co wzbudziło moje zainteresowanie. Dom, z którego się wymknąłem, stał niemal na szczycie wrzosowisk, w samym centrum czegoś w rodzaju płaskowyżu i nie było wyższego punktu w promieniu sześciu mil, nie licząc wznoszących się tam wysokich gór. Szczyt ów, jak już wspominałem, porastała dziwaczna kępka drzew — głównie jodeł, ale znalazło się wśród nich miejsce dla kilku jesionów oraz buków. Dach gołębnika znajdował się prawie na równi z ich wierzchołkami, dzięki czemu widziałem co się za nimi znajdowało. Rzadko rosnące drzewa oplatały równym pierścieniem zielony teren przypominający boisko do krykieta.

Nie zastanawiałem się długo nad jego przeznaczeniem. Miałem przed sobą sekretne lotnisko. Trzeba przyznać, że miejsce wybrano z wielką rozważą. Każdy obserwator widząc zniżający się samolot, uznałby, że zniknął on za lesistym grzbietem wzgórza. Jako że było to najwyższe miejsce w samym środku czegoś w rodzaju naturalnego amfiteatru, ludzie patrzący z dowolnego kierunku, założyliby, że maszyna skryła się po drugiej stronie zbocza. Odkryć je dało się tylko stojąc w pobliżu lotniska, obserwator na pobliskich wzgórzach musiałby używać lunety, a pasterze zamieszkujący te okolice raczej nie noszą takich rzeczy przy sobie. Z dachu mogłem dostrzec również błękitną linię morza na horyzoncie i nie potrafiłem opanować wściekłości, że nasi wrogowie zdołali zbudować sekretną kwaterę, z której mogą ostrzeliwać brytyjskie wody.

Nagle sobie uprzytomniłem, że przypadku pojawienia się samolotu, natychmiast zostaną odkryty. Przez resztę popołudnia leżałem nieruchomo, błagając Boga o zmrok. Z wdzięcznością powitałem zachód słońca i wieczorne mgły. Samolotu ani śladu. Dopiero wtedy usłyszałem znajomy warkot oraz szum, kiedy maszyna zaczęła podchodzić do lądowania między drzewami. Zamigotały światła, a wokół domu przez chwilę trwało poruszenie. Później nadeszła noc i zapadła cisza.

Na szczęście zrobiło się zupełnie ciemno. Księżyc w ostatniej



kwarcie wschodził bardzo późno. Dręczące mnie pragnienie nie pozwalało mi dłużej zwlekać, dlatego też około dziewiątej postanowiłem w końcu opuścić dach gołębnika. Nie było to łatwe, a mniej więcej w połowie drogi usłyszałem, jak ktoś wychodzi przed dom i zmierza w stronę młyna przyświecając sobie latarnią. Przez długie minuty wisiałem uczepiony bluszczu i modliłem się, by nikt nie wpadł na pomysł sprawdzenia gołębnika. W końcu światło zniknęło i najdelikatniej jak tylko potrafiłem, zeskoczyłem na twardy bruk podwórza.

Pełznąąc wzdłuż kamiennej grobli dotarłem do drzew otaczających dom. Niestety nie miałem pojęcia, jak uruchomić aeroplan, zresztą na nic by mi się to nie zdało. Byłem pewien, że moi przeciwnicy przedsięwzięli środki ostrożności, przeczłogałem się więc pomiędzy drzewami, badając uważnie każdą piędź ziemi przede mną. Ostrożność została wynagrodzona, natknąłem się bowiem na drut rozciągnięty jakieś dwie stopy nad ziemią, który bez wątpienia uruchamiał alarm wewnątrz domu. Gdybym się o niego potknął, dopadli by mnie w kilka sekund.

Sto jardów dalej odkryłem kolejną pułapkę, ukrytą nad brzegiem niewielkiego potoku. Na drugim brzegu zaczynało się wrzosowisko. Pięć minut później skryłem się wśród porastających je chaszczki. Wkrótce dotarłem do niewielkiej dolinki, w której biło źródło wody zasilającej młyn. Zanurzyłem w nim twarz, wypijając galon błogosławionej, ożywczej wody.

Potem ruszyłem pędem przed siebie, zatrzymując się dopiero wtedy, gdy od przeklętego domostwa dzieliło mnie pół tuzina mil.

## 7. Przygoda z wędkarzem

Przycupnąłem na szycie wzgórza i zastanowiłem się nad swoim położeniem. Ulgę z powodu ucieczki tłumił nieco ból całego ciała, dlatego też nie czułem się nazbyt szczęśliwy. Wciąż odczuwałem skutki trujących oparów lentonitu i godzin spędzonych w spiekocie na dachu gołębnika. Głowa pękała mi w szwach i byłem słaby niczym kocię. Nadal nie potrafiłem poruszać ramieniem. Z początku zdawało mi się, że to tylko otarcie, ale pojawiła się opuchlizna i ręka stała się zupełnie bezużyteczna.

Chciałem wrócić do chaty Turnbulla i odzyskać swoje rzeczy — przede wszystkim notatnik Scuddera — a potem wrócić na południe. Im wcześniej uda mi się skontaktować z sir Walterem Bullivantem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, tym lepiej. Nie potrzebowałem już chyba żadnych innych dowodów. Albo mi uwierzy, albo nie, i tak miałem tam większe szanse niż wśród tych przeklętych szkopów. Moja sympatia do brytyjskich władz rosła z sekundy na sekundę.

Noc była cudownie rozgwieżdżona, bez trudu więc znajdowałem drogę. Według mapy, której przyjrzałem się u sir Harry'ego, jeśli chciałem dojść do strumienia, gdzie natknąłem się na kamieniarza, powinienem kierować się na południowy zachód. W czasie wszystkich tych wędrówek nie zdołałem zapamiętać ani jednej nazwy, ale wierzyłem, że ów strumień, to jeden z górnych dopływów rzeki Tweed. Obliczyłem, że mam do pokonania jakieś osiemnaście mil, co oznaczało, że nie dotrę tam przed świtem. Nie ośmieliłbym się pokazać nikomu w takim stanie, co oznaczało, że powinienem gdzieś przeczekać dzień. Moja twarz i dłonie poczerniały od wybuchu, miałem rozdarte spodnie i wciąż byłem pozbawiony płaszcza, kamizelki oraz kołnierzyka. Niewątpliwego uroku dodawały mi również zaczerwienione oczy. Ogólnie rzecz biorąc, żaden bogobojny obywatel nie powinien mnie oglądać.

Z nastaniem świtu obmyłem się z grubsza w górskim potoku i nękanym głodem ruszyłem w stronę pobliskiego pasterskiego szałas. W oddalonym o pięć mil od najbliższego sąsiedztwa domu zastałem samotną kobietę, której mąż przebywał wśród hal. Była to zażywna,

dzielna staruszka, która nie zawahałby się użyć trzymanej w ręku siekiery, gdyby wyczuła, że mam złe zamiary. Nie wnikając w szczegóły, powiedziałem jej, że potłukłem się w wyniku wypadku, sama zresztą mogła się zorientować, że nie jest ze mną najlepiej. Zachowała się niczym prawdziwa Samarytanka; nie zadawała żadnych pytań i usadowiła mnie przy ogniu, częstując szklanką mleka z kapką whisky. zaproponowała, że opatrzy moją ranę, ale ramię bolało tak mocno, że nie pozwoliłem się dotknąć.

Nie wiem, za kogo mnie wzięła, pewnie za zbiegłego bandytę, kiedy zaś próbowałem jej zapłacić najdrobniejszą posiadaną monetą, suwerenem, potrząsnęła tylko głową, mówiąc, bym oddał pieniądze, tym, do kogo należą. Mój zdecydowany protest musiał zrobić na niej wrażenie, wzięła bowiem pieniądze, ofiarując mi w zamian ciepły koc i kapelusz należący do jej męża. Pokazała mi, jak narzucić koc na ramiona, a opuszczając jej chatę wyglądałem niczym najprawdziwszy Szkot z ilustracji towarzyszących wierszom Roberta Burnsa. Wreszcie byłem w miarę porządnie odziany.

Okazało się to nieocenione już w okolicach południa, kiedy nadeszła rześista mżawka. Znalazłem schronienie w skalnym załomie na brzegu strumienia, gdzie połamane gałęzie tworzyły sprężyste podłoże. Obudziłem się o zmierzchu, obolały i połamany, a zranione ramię rwało mnie jak diabli. Zjadłem odrobinę sera i owsianych ciasteczek, które dostałem od starej pasterki i przed zapadnięciem ciemności ruszyłem w dalszą drogę.

Pominę milczeniem tę żalospną noc pośród mokrych wzgórz. Nie widząc żadnych gwiazd, musiałem się kierować tym, co zapamiętałem z mapy. Dwukrotnie zgubiłem drogę, wpadając w paskudne trzęsawiska. Miałem do pokonania jakieś dziesięć mil w linii prostej, ale przeszedłem ich tej nocy ze dwadzieścia. Nękany zawrotami głowy parłem przed siebie z zaciśniętymi zębami i ostatecznie o świcie zapukałem do drzwi chaty Turnbulla. Wokół wciąż unosiły się poranne mgły, a stojąc pod drzwiami nie potrafiłem dostrzec drogi.

Otworzył mi sam Turnbull, tym razem zupełnie trzeźwy. A nawet więcej niż trzeźwy — nosił odświętny, choć staroświecki czarny garnitur, do którego założył koszulę z kołnierzykiem, musiał się też ogolić nie dalej jak poprzedniego dnia, a w lewym ręku trzymał kieszonkową

Biblię. I z początku w ogóle mnie nie rozpoznał.

— I czego się dobija jak wściekły w dzień pański? — powitał mnie opryskliwie.

Zupełnie straciłem rachubę dni. Teraz stało się jasne, że Turnbull miał na sobie niedzielne ubranie.

Tak bardzo kręciło mi się w głowie, że nie potrafiłem się zdobyć na żadną zrozumiałą odpowiedź. W końcu jednak przypomniał sobie moją twarz i zobaczył, że z trudem trzymam się na nogach.

— Masz pan moje okulary? — zapytał.

Sięgnąłem do kieszeni i podałem mu szkła w rogowej oprawie.

— Pewnie chcesz pan swój płaszcz i kamizelkę? — domyślił się. — Wchodź pan, widzę przecież, że ledwie pan stoisz. Zaraz se pan kłapniesz.

Podejrzywałem, że dopadł mnie atak malarii. Choroba towarzyszyła mi od czasu pobytu w koloniach, a deszczowa noc wywarła odpowiednie skutki, zwłaszcza w połączeniu z wciąż bolącym ramieniem i trującymi oparami. Nim zdążyłem się zorientować, Turnbull pomógł mi się rozebrać i położył mnie na łóżku w kuchennej wnęce.

W potrzebie, stary kamieniarz okazał się prawdziwym przyjacielem. Jego żona zmarła wiele lat temu, a od czasu zamążpójścia córki skazany był na samotność.

Zajmował się mną przez dobrych dziesięć dni, doglądając wszystkich moich potrzeb. Musiałem przeczekać atak febry, kiedy zaś gorączka ustąpiła, odkryłem, że moje ramię również zdążyło się mniej więcej zagoić. Wciąż jednak czułem ogromne osłabienie i mimo pięciu kolejnych dni spędzonych poza łóżkiem, stanie o własnych siłach przychodziło mi z trudem.

Turnbull wychodził każdego ranka, zostawiając mi mleko i zamykając drzwi na klucz, a po powrocie z pracy siedział w milczeniu przy piecu. Nikt go nigdy nie odwiedzał. Nie zadawał mi pytań, nawet wtedy, gdy miałem już siły, by na nie odpowiedzieć. Przynosił czasem egzemplarze „Scotsmana” sprzed kilku dni, dzięki czemu odkryłem, że zainteresowanie zabójstwem przy Portland Place zdecydowanie przygasło. Nie znalazłem na ten temat żadnej wzmianki, zresztą prasa zdawała się żyć jednym tylko tematem — Zgromadzeniem Ogólnym. Z tego, co zrozumiałem, był to chyba jakiś kościelny spęd.

Pewnego dnia Turnbull otworzył zamykaną na klucz szufladę i podał mi mój pasek.

— Niemało pieniędzy — zauważył. — Lepiej pan przerachuj, czy czego nie brakuje.

Nie zapytał mnie nawet o nazwisko, ja za to próbowałem się od niego dowiedzieć, czy ktoś o mnie wypytywał.

— No, szwendał się tu taki z eleganckim autem, się pytał, kto za mnie robił, jak nadzorca tu wtykał nos. Żem go wpierw potraktował jak głupka, ale chłop się uparł, tom w końcu powiedział, że pewnikiem rozmyśla o moim szwagrze z Cleuch, co to czasem ze mną robi. Trefny jakiś, a po angielsku wywijał tak, żem połowy nie rozumiał.

Odzyskawszy siły, znów poczułem dręczący mnie niepokój i uznałem, że czas ruszyć w drogę. Musiałem jednak odczekać z tym aż do dwunastego czerwca, wtedy właśnie ponownie dopisało mi szczęście, gdyż do chaty Turnbulla zajrzał znajomy poganiacz bydła, prowadzący stado do Moffat. Nazywał się Hislop, przyjaźnił się z moim gospodarzem i w czasie śniadania zaoferował, że mogę się z nim zabrać.

Zmusiłem Turnbulla do przyjęcia pięciu funtów za wszystko, co dla mnie zrobił. Nigdy w życiu nie spotkałem bardziej niezależnej istoty. Wściekł się, kiedy zacząłem naciskać, by przyjął zapłatę, a kiedy w końcu wziął pieniądze, był czerwony ze wstydu i złości i nie podziękował. Powiedziałem, że nie mam pojęcia, jak zdołam mu się odwdziżyć, na co odburknął, że dobre uczynki same w sobie są nagrodą. Ktoś obserwujący nasze pożegnanie mógłby pomyśleć, że rozstaliśmy się w gniewie.

Hislop okazał się wesołym kompanem, który, gdy szliśmy przez słoneczną dolinę Annan, mówił bez ustanku. Pogadaliśmy sobie o cenach owiec w pobliżu Galloway, uznałem bowiem, że najwygodniej będzie się podawać za pasterza z tamtych stron, gdziekolwiek by się tamte strony nie znajdowały. Jak już wspomniałem, koc i złachany kapelusz sprawiały, że przypominałem najprawdziwszego, teatralnego Szkota. Zagon bydła okazał się jednak śmiertelnie nużącym, powolnym zajęciem i w ciągu dnia pokonaliśmy ledwie kilkanaście mil.

Niepokój, który dręczył moją duszę nie pozwalał mi się cieszyć tym cudownym czasem. Pogoda była wspaniała, przed naszymi oczami wciąż przesuwwały się zrudziałe pagórki i turkusowe łąki, a wokół rozbrzmiewał świergot ptactwa i cichutko szemrały strumienie. Ale mój

umysł nie potrafił się skupić na urokach lata i paplaninie Hislopa, do piętnastego czerwca pozostały bowiem zaledwie trzy dni i czułem się przytłoczony ogromem czekających mnie trudności.

Posiliwszy się w skromnym gościńcu w Moffat, pokonałem dwie mile dzielące mnie od linii kolejowej. Nocny ekspres jadący na południe miał się pojawić dopiero przed północą, więc zmęczony trudami wędrówki wdrapałem się na zbocze pobliskiego wzgórza i zapadłem w sen. W końcu omal nie zasnęłem i biegłem na stację. Wskoczyłem do pociągu na dwie minuty przed odjazdem. Twarde siedzisko i unosząca się w powietrzu zatęchła woń tytoniowego dymu, tak charakterystyczna dla wagonów trzeciej klasy, momentalnie podniosły mnie na duchu. Wreszcie poczułem, że coś robię.

Wysiadłem nad ranem w Crewe, skąd o szóstej odchodził pociąg do Birmingham. W południe dotarłem do Reading, stamtąd zaś lokalną koleją pojechałem w głąb Berkshire. Byłem w krainie grzęzawisk i zarośniętych tatarakami strumieni. Około ósmej wieczorem na niewielkiej stacyjce w Artinswell pojawiło się strudzone podróżą indywiduum, w którym dało się dopatrzyć sezonowego robotnika lub ubogiego weterynarza, niosące przewieszony przez ramię czarno-biały kraciasty pled (nie odważyłbym się go założyć tak głęboko na południu). Na peronie kręciło się kilka osób, ale uznałem, że lepiej wstrzymać się z zadawaniem pytań, aż będę pewien, że nic mi tu nie grozi.

Ruszyłem drogą prowadzącą przez wysoki bukowy las i płytką kotlinkę, z której rozciągał się widok na zielone zbocza w oddali wyłaniające się ponad odległymi drzewami. W porównaniu ze Szkocją powietrze zdawało się tu o wiele gęstsze, przepełnione słodką wonią, trwał bowiem czas kwitnienia lip, orzechowców i bżów. Doszedłem do mostu przerzuconego nad leniwym strumieniem, którego brzegi bieleły się od jaskrów. Nieco dalej natrafiłem na młyn, a przyjazny turkot koła obracającego się sprowadził na mnie ukojenie. Rozglądając się pośród otaczającej mnie zieleni, poczułem ochotę, żeby coś zagwizdać, a pierwszą melodią, jaka wpadła mi do głowy, okazała się *Annie Laurie*.

Od strony rzeki nadchodził wędkarz, któremu również zebrało się na pogwizdywanie i już wkrótce wspólnie dokończyliśmy tę zaraźliwą piosenkę. Był to rosły mężczyzna w luźnych flanelach i kapeluszem z szerokim rondem. Z jego ramienia zwisała płócienna torba. Skinął głową

na powitanie, a ja pomyślałem, że jeszcze nigdy nie widziałem tak bystrego spojrzenia i uprzejmego wyrazu twarzy. Oparłszy o balustradę mostku dziesięciostopową bambusową wędkę, spojrział wraz ze mną na wodę.

— Przejrzysta, prawda? — zapytał. — Zawsze mówię, że nasza Kenner to lepsza rzeka niż Test. Niech pan tylko spojrzy, o tam, przecież ta ryba waży z cztery funty. Ale skończyła już żerować, więc nie ma na co liczyć.

— Niczego nie widzę — przyznałem.

— Tam, proszę popatrzeć. Jakiś jard od trzcin.

— Widzę! Przysięgłbym, że to czarny kamień!

— Czyżby? — zdziwił się uprzejmie mężczyzna i odgwizdał kilka kolejnych taktów *Annie Laurie*. — Pan Twidson, prawda? — zapytał, nie odrywając wzroku od strumienia.

— Nie — odpowiedziałem. — To znaczy tak.

Z tego wszystkiego zapomniałem o swoim przybranym nazwisku.

— Wprawny konspirator powinien pamiętać, jak się nazywa — zauważył mój rozmówca, uśmiechając się szeroko na widok kurki wodnej, która wypłynęła spod mostu.

Przyjrzałem się uważnie jego solidnej, kwadratowej szczęce, równym brwiom oraz wystającym kościom policzkowym i doszedłem do wniosku, że wreszcie znalazłem godnego sojusznika. Choć w błękitnych oczach błyszczało rozbawienie, ich moc przenikała do głębi.

Nagle spojrział na mnie spođe łba.

— To wstyd! — warknął donośnie. — Jak pan śmie żebrać, skoro jest pan zupełnie sprawny? Proszę się zgłosić w mojej kuchni, tam pana nakarmię. Ale na pewno nie dam panu pieniędzy.

Minął nas niewielki powóz prowadzony przez młodego mężczyznę, który pozdrowił wędkarza uniesieniem ręki. Kiedy zniknął nam z oczu, mężczyzna sięgnął po swoją wędkę.

— To mój dom — wskazał białą bramę mniej więcej sto jardów od nas. — Proszę odczekać pięć minut i zjawić się pod tylnymi drzwiami.

Co powiedziawszy, zostawił mnie na moście.

Zrobiłem, jak prosił, odkrywając śliczną wiejską posiadłość, z trawnikiem ciągnącym się aż na brzeg strumienia i ścieżkami, porośniętymi krzewami bzu i kaliną. Przy otwartych drzwiach na tyłach

czekał już na mnie poważny kamerdyner.

— Proszę tędy, sir. — Poprowadził mnie korytarzem do schodów, które zawiodły nas do przyjemnej sypialni z widokiem na rzekę. Czekają już tam na mnie ubranie — brązowy garnitur z flaneli, koszule, kołnierzyki, krawaty, przybory do golenia, a nawet para skórzanych trzewików.

— To rzeczy panicza Reggiego — poinformował kamerdyner. — Zwykle zagląda tu w każdy weekend, ma więc własną garderobę. Sir Walter uznał, że powinny na pana pasować. Obok jest łazienka, przygotowaliśmy dla pana kąpiel. Kolacja będzie za pół godziny, sir. Usłyszysz pan gong.

Wycofał się dyskretnie, a ja opadłem na obity wzorzystym materiałem fotel i rozdziawiłem usta ze zdumienia. Taka nagła przemiana z włóczędzy w honorowego gościa zdawała mi się teatralną farsą. Najwyraźniej sir Walter ufał mi całkowicie, choć Bóg raczy wiedzieć z jakiego powodu. Patrząc w lustro, widziałem przed sobą obłąkanego, wymizerowanego człowieka z ogorzałą, przybrudzoną twarzą i dwutygodniową brodą. Miałem rozchełstaną koszulę, wymiętoszone spodnie i buty, których nie czyściłem przez prawie miesiąc. Wyglądałem na wagabundę, od biedy mógłbym również uchodzić za poganiacza bydła, a mimo to elegancki sługa bez żadnych pytań wprowadził mnie do tej oazy spokoju. Co lepsze, nikt mnie nawet nie zapytał o nazwisko.

Postanowiłem się tym nie kłopotać i skorzystać z darów losu. Ogoliłem się i wymoczyłem w kąpieli, następnie włożyłem wykrochmaloną koszulę i garnitur. Zakończywszy ablucje, spojrzałem ponownie w lustro i zobaczyłem całkiem sympatyczne młode oblicze.

Sir Walter czekał na mnie w jadalni przy niewielkim okrągłym stoliku, której półmrok rozświetlały stojące w srebrnych świecznikach świece. Jedno spojrzenie na mojego gospodarza — tak pewnego siebie, godnego szacunku, prawdziwego wcielenia prawości i obycia — sprawiło, że poczułem się jak natręt. Gdyby tylko wiedział, kim naprawdę jestem, na pewno nie traktowałby mnie z taką gościnnością.

— Jestem panu niewyobrażalnie wręcz zobowiązany, powinienem jednak coś wyznać... — Uznałem, że nie mogę go dłużej oszukiwać. — Chociaż nie popełniłem żadnej zbrodni, ściga mnie policja. Uznałem, że



musi pan o tym wiedzieć i zrozumieć, jeśli zdecyduje się pan mnie wyprosić.

— To nic takiego — odpowiedział z uśmiechem. — Proszę sobie nie psuć apetytu. Możemy o tym porozmawiać po kolacji.

Po całym dniu spędzonym na kilku kanapkach kupionych w pociągu, rzuciłem się na jedzenie wygłodniały niczym wilk. Gospodarz kazał podać wybornego szampana, a po posiłku na stole pojawiło się nadzwyczaj wykwintne porto. Obsługiwany przez lokaja i eleganckiego kamerdynera, siedziałem przy stole kompletnie oszołomiony tą sytuacją. W końcu przez ostatnie trzy tygodnie żyłem niczym zbójnik, ścigany przez wszystkich. Opowiedziałem sir Walterowi o pływających w Zambezi rybkach tygryśnych, które potrafią odgryźć człowiekowi palce, później zaś porozmawialiśmy nieco o polowaniach w różnych zakątkach świata, okazało się bowiem, że mój gospodarz był swego czasu zapalonym myśliwym.

Przenieśliśmy się do niezwykle przytulnego, zabałaganionego gabinetu pełnego książek i myśliwskich trofeów, gdzie podano nam kawę. Stwierdziłem, że jeśli tylko uda mi się wyplątać z tej całej sprawy i kupię sobie własny dom, muszę sobie w nim urządzić taki właśnie gabinet. Gdy służba uprzątnęła filiżanki i zapaliliśmy cygara, sir Walter przerzucił swoje długie nogi przez ramię fotela i poprosił, żebym zaczął swoją opowieść.

— Postąpiłem dokładnie wedle instrukcji Harry'ego — przypomniał. — A on obiecał, że pańska historia mnie zacieka. Jestem gotów jej wysłuchać, panie Hannay.

Nie umknęło mojej uwadze, że zwrócił się do mnie prawdziwym nazwiskiem. Zacząłem od samego początku, mówiąc o trapiącej mnie w Londynie nudzie oraz wieczornym spotkaniu ze Scudderem, który zaczepił mnie na progu mieszkania. Powtórzyłem wszystko, czego dowiedziałem się na temat Karolidesa i spotkania pod auspicjami Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Zauważyłem, że mój gospodarz wydyma wargi i uśmiecha się kpiąco.

Później opowiedziałem mu o zabójstwie, co momentalnie przywróciło nastrój powagi. Usłyszał również o sztuczce z mleczarzem i moim pobycie w Galloway, dowiedział się, że w gospodzie udało mi się odszyfrować zapiski Scuddera.

— Ma je pan przy sobie? — zapytał i westchnął, widząc niewielki notatnik, który wyjąłem z kieszeni.

Pominąwszy milczeniem jego zawartość, przeszedłem do opisu spotkania z sir Harrym, wspominając o przemowach wygłoszonych na wiecu. Sir Walter nie potrafił się powstrzymać od śmiechu.

— Założę się, że Harry wygadywał same bzdury, prawda? Trudno mi uwierzyć, żeby mogło być inaczej. To wspaniały chłopak, tylko ten dureń, jego wuj, nakładł mu sieczki do łba. Proszę mówić dalej, panie Hannay.

Moja opowieść o ucieczce w przebraniu kamieniarza wzbudziła w nim ekscytację. Poprosił o jak najdokładniejszy opis obu pasażerów samochodu i zdawał się szukać ich w pamięci. Słyszając o losie, jaki spotkał tego osła Jopleya, mój gospodarz znów parsknął śmiechem. Powaga wróciła dopiero wtedy, gdy wspomniałem o domu wśród wrzosowisk i tajemniczym starcu. Sir Walter ponownie poprosił, bym mu go szczegółowo opisał.

— Gładkolicy i gładkogłowy, ze spojrzeniem niczym u jastrzębia... Z opisu wygląda faktycznie na złowieszcze ptaszysko! Wysadzenie jego domu w podzięcie za to, że ocalił pana przed policją to naprawdę fantastyczna sztuczka!

Moja opowieść dobiegła końca. Sir Walter podniósł się z fotela i spojrzał na mnie, stając przed kominkiem.

— Może się pan przestać zamartwiać policją — oznajmił. — W tym kraju ze strony prawa już nic panu nie grozi.

— Mój Boże! — westchnąłem. — Czyżby udało się schwytać zabójcę?

— Nie. Ale już dwa tygodnie temu został pan skreślony z listy podejrzanych.

— Jak to? — Nie potrafiłem ukryć zdumienia.

— Przede wszystkim dzięki temu, że dotarł do mnie list napisany przez Scuddera. Znałem go, pracował dla mnie kilka razy. Częściowo obłąkaniec, częściowo geniusz, zawsze jednak uczciwy. Jego największa wada to ta, że wolał działać na własną rękę. Z tego powodu nie nadawał się do pracy w tajnych służbach. A szkoda, bo miał ku temu nadzwyczajny talent. Myślę, że był jednym z najdzielniejszych ludzi na świecie, wciąż zmagając się ze strachem, ale nic nie mogło go powstrzymać.

Jego list dotarł do mnie ostatniego dnia maja.

— Przecież nie żył już wtedy od tygodnia!

— List wysłano dwudziestego trzeciego. Najwyraźniej nie spodziewał się rychłej śmierci. Jego listy dochodziły zazwyczaj po tygodniu, wędrując w sekrecie przez Hiszpanię do Newcastle. Zawsze zacierał za sobą ślady. Miał na tym punkcie obsesję.

— I czego się pan dowiedział z listu? — dopytywałem niecierpliwie.

— Niczego. Pisał jedynie, że w obliczu grożących mu niebezpieczeństwa znalazł schronienie pod dachem dobrego przyjaciela i nie będzie się ze mną kontaktował aż do piętnastego czerwca. Nie zostawił adresu, wspomniał tylko, że mieszka w okolicach Portland Place. Wydaje mi się, że próbował w ten sposób zapewnić panu alibi. Z listem w ręku poszedłem do Scotland Yardu, przejrzałem akta dochodzenia i odkryłem, że to pan był tym tajemniczym przyjacielem. Sprawdziliśmy pana, panie Hannay, i wszystko wskazywało na to, że jest pan szanowanym obywatelem. Wydawało mi się, że odgadłem motywację stojącą za pańskimi uciezkami — nie tylko z mieszkania, ale i przed pościgiem — a kiedy dotarła do mnie wiadomość od Harry'ego, dopowiedziałem sobie resztę. Spodziewałem się pana już w zeszłym tygodniu.

Możecie sobie wyobrazić, jak wielką ulgę przyniosły mi jego słowa. Wreszcie poczułem się wolny. Od tej pory musiałem walczyć tylko z wrogami mojej ojczyzny, a nie z jej przedstawicielami.

— Zajrzyjmy teraz do tego notesu — zaproponował sir Walter.

Zajęło nam to dobrą godzinę. W mgnieniu oka pojał zasady rządzące szyfrem. W kilku miejscach nie zgodził się z moim odczytaniem, ale całość uznał za wiarygodne tłumaczenie. Skończywszy czytać, siedział przez chwilę w milczeniu z poważnym wyrazem twarzy.

— Nie wiem, co z tym począć — przyznał w końcu. — Scudder na pewno ma rację, kiedy pisze do czego dojdzie pojutrze. Jak u diabła się o tym dowiedział?! Samo to jest wystarczająco okropne, ale te wszystkie wzmianki o Czarnym Kamieniu i wojnie wydają mi się nazbyt melodramatyczne. Och, gdybym tylko potrafił bardziej mu zaufać! Problem w tym, że Scudder zawsze przejawiał romantyczne skłonności, miał temperament dramaturga i zależało mu na tym, by każda historia brzmiała lepiej, niż prezentowała się sama rzeczywistość. Okazywał

również pewne słabości. Żydzi na przykład doprowadzali go do szewskiej pasji. Żydzi i finansiści. Czarny Kamień... — powtórzył z namysłem. — *Der Schwarze Stein*. To przecież brzmi jak tytuł groszowej powiastki. Podobnie jak te wszystkie brednie o Karolidesie. To najśłabsza część jego opowieści. Przypadkiem wiem, że ów szlachetny mąż stanu najpewniej przeżyje nas obu. Żadnemu z europejskich przywódców nie zależy na jego śmierci. Ostatnio zresztą przyprawia mego szefa o solidny ból głowy, zabawiając się w gierki z Berlinem i Wiedniem. Muszę przyznać, panie Hannay, że zupełnie nie wierzę w te fragmenty notatek Scuddera. Faktycznie odkrył, że szykuje się coś paskudnego i przypłacił to życiem, założę się jednak, że chodzi tutaj o zwyczajną szpiegowską aferę. Jedna z kontynentalnych potęg nader chętnie posługuje się siatkami agentów, a ich metody nie należą do wyrafinowanych. Solidnie opłacani konspiratorzy nie zawahają się przed jednym czy drugim zabójstwem. Najpewniej chcą wykraść plany mobilizacyjne naszej floty, by dołączyć je do Deutsche Marine. Srogo się zawiodą.

W tym momencie do gabinetu ponownie zajrzał kamerdyner.

— Telefon do pana, sir — zwrócił się do mego gospodarza. — Dzwoni pan Eath. Nalega, by rozmawiać z panem osobiście.

Sir Walter natychmiast wyszedł z pokoju. Wrócił kilka minut później, a jego twarz wyraźnie pobiadła.

— Muszę przeprosić za brak wiary w Scuddera — powiedział stłumionym głosem. — Kilka minut przed siódmą wieczorem ktoś zastrzelił Karolidesa.

## 8. Czarny Kamień nadchodzi

Kiedy po ośmiu godzinach błogosławionego, pozbawionego marzeń snu zszedłem rano na śniadanie, sir Walter siedział przy stole, skupiony na telegramie leżącym pomiędzy babeczkami i talerzykiem z konfiturą. Jego wczorajsza pogoda ducha całkowicie zniknęła.

— Jak tylko udał się pan na spoczynek, złapałem za telefon i spędziłem kolejną godzinę na rozmowach — wyjaśnił. — Przekonałem mojego szefa, by porozmawiał z admiralicją i sekretarzem sztabu, w związku z czym zadepeszowano do Francji, prosząc o wcześniejszy przyjazd Royera. Będzie w Londynie o siedemnastej. Co zabawne, to fakt że *Sous-chef d'état-major général* otrzymał w naszych aktach kryptonim „Wieprzek”.

Zasiedliśmy do śniadania, a sir Walter mówił dalej.

— Nie wydaje mi się, żebyśmy coś w ten sposób osiągnęli. Skoro naszym sprytnym przyjaciołom udało się wykraść informację na temat sekretnego spotkania, zapewne dowiedzą się też i o zmianach. Oddałbym wszystko, żeby się dowiedzieć, skąd pochodzi przeciek. Wydawało nam się, że w całej Anglii jest tylko pięć osób, które wiedzą o wizycie Royera. Francuzi znacznie lepiej dbają o swoje tajemnice, więc u nich liczba zorientowanych jest zapewne znacznie mniejsza.

Posilaliśmy się spokojnie, podczas gdy on opowiadał o wszystkim, obdarzając mnie zdumiewająco wielkim zaufaniem.

— A nie można jakoś zmienić rozkazów floty? — zasugerowałem.

— Można. Ale wolelibyśmy tego uniknąć — przyznał. — Włożono w to olbrzymi wysiłek i żadne zmiany nie wyjdą nam na dobre. Zresztą w jednym czy dwóch przypadkach są one już całkowicie niemożliwe. Oczywiście jeśli zajdzie taka konieczność, na pewno coś da się zrobić. Powinien pan jednak zrozumieć, panie Hannay, że nasi wrogowie nie będą się bawić w dziecinne gierki czy zaglądać Royerowi do kieszeni. Wiedzą, że natychmiast się zorientujemy. Muszą działać rozważnie, tak abyśmy się o tym nie dowiedzieli, a Royer wrócił do Paryża w przekonaniu, że tajemnica jest wciąż bezpieczna. Domyślają się zapewne, że możemy sfałszować rozkazy, więc przegrają, jeśli nie uda im się tego

zrobić dyskretnie.

— Wygląda na to, że powinniśmy opiekować się tym Francuzem aż do chwili, gdy znajdzie się w domu — zauważyłem. — Gdyby mogli zrealizować swój plan w Paryżu, na pewno by tego próbowali. Co oznacza, że zależy im nadzwyczaj na powodzeniu akcji w Londynie i wierzą, że może im się udać.

— Royer zawita najpierw na kolacji z moim szefem, później zjedzie tutaj na spotkanie z czterema osobami: Whittakerem z admiralicji, sir Arthurem Drewem, generałem Winstanleyem i ze mną. Pierwszy Lord Admiralicji niestety się rozchorował i wyjechał do Sheringham. Whittaker przekaże Royerowi pewien dokument, po czym Francuz zostanie odwieziony do Portsmouth, skąd na pokładzie niszczyciela odpłynie do Hawru. To zbyt ważna sprawa, by pozwolić mu na rejs zwyczajnym statkiem. Aż do osiągnięcia francuskiego brzegu Royer będzie pod stałą opieką. Podobnie jak Whittaker. To najlepsze, co możemy w tej sytuacji zrobić i trudno mi dostrzec wady tego planu. Przyznam jednak, że dręczy mnie niepokój. Zabójstwo Karolidesa na pewno wywołało zamieszanie w wielu europejskich gabinetach.

Po śniadaniu poprosił, abym mu towarzyszył jako kierowca.

— Będzie pan udawał mojego szofera. Liberia Hudsona powinna na pana pasować. Nie możemy podejmować dodatkowego ryzyka, a pan jest doskonale we wszystkim zorientowany. Mamy do czynienia z naprawdę niebezpiecznymi ludźmi, którzy nie zawahają się wtargnąć do wiejskiej posiadłości przepracowanego urzędnika.

Po przyjeździe z kolonii do Londynu, w mojej głowie narodził się pomysł objechania południa Anglii, w związku z czym kupiłem samochód i zapoznałem się z mapami. Dzięki temu mogłem się teraz pochwalić znajomością geografii tych okolic. Bez najmniejszych problemów znalazłem szosę prowadzącą do Bath. Był bezwietrzny czerwcowy poranek, a dzień zapowiadał się upalnie, przyjemnie się więc jechało przez niewielkie miasteczka z ulicami mokrymi od rosy i rozścielające się w dolinie Tamizy ogrody. Pod dom sir Waltera przy Queen Anne's Gate zajechaliśmy punktualnie o wpół do dwunastej. Kamerdyner miał dołączyć do nas później; jechał wraz z bagażami pociągiem.

Najpierw udaliśmy się do Scotland Yardu, gdzie powitał nas elegancki dżentelmen, jego gładkie oblicze sprawiało, że przypominał

prawnika.

— Przyprowaǳiłem panu zabójcę z Portland Place — przedstawił mnie sir Walter.

— Niezwykle bym się z tego ucieszył, Bullivant — odparł mężczyzna z kwaśnym uśmiechem. — Zgaduję, że to pan Richard Hannay, którym przez wiele dni tak bardzo się interesowaliśmy?

— Myślę, że pan Hannay wciąż jest dla nas interesujący — stwierdził mój gospodarz. — Ma wiele ciekawych rzeczy do opowiedzenia, ale nie w tej chwili. Z pewnych niezwykle ważnych powodów musimy zaczekać z tą opowieścią jeszcze cztery godziny. Mogę panu obiecać, że na pewno pana zaciekawi, a być może i podniesie na duchu. Teraz chciałem tylko pokazać panu Hannayowi, że nie powinien się niczego z naszej strony obawiać.

Mężczyzna bez wahania potwierdził słowa sir Waltera.

— Może pan wrócić do normalnego życia — rzekł. — Pański słuźący oraz mieszkanie wciąż na pana czekają, choć zgaduję, że będzie je chciał pan opuścić. Jako że nigdy pana o nic formalnie nie oskarżono, nie ma potrzeby publicznego oczyszczenia pańskiego nazwiska.

— Możemy potrzebować pańskiej pomocy trochę później, panie MacGillivray — rzucił sir Walter na odchodnym.

A potem pozwolił mi odejść.

— Tylko proszę zajrzeć do mnie jutro — powiedział. — Nie muszę chyba przypominać, by zachował pan całkowitą dyskrecję. Na pańskim miejscu położyłbym się do łóżka, na pewno ma pan spore zaległości w spaniu. Radzę nie rzucać się w oczy, miałby pan spore kłopoty natykając się na któregoś z naszych przyjaciół z Czarnego Kamienia.

Nagle byłem wolny. Świadomość, że mogę poruszać się bez lęku, z początku okazała się niezwykle przyjemna. Miesiąc życia poza prawem wystarczył mi w zupełności. Zajrzałem do Savoyu, pieczołowicie dobierając dania z karty, po czym wypaliłem ich najlepsze cygaro. Wciąż jednak czułem się niespokojny. Siedząc w restauracji, widziałem skierowane w moją stronę spojrzenia i zastanawiałem się, czy ci ludzie mają mnie za mordercę.

Po posiłku wskoczyłem do automobila i pojechałem kilka mil na północ. Wróciłem pieszo przez pola, mijając tarasowe osiedla willowe i przedzierając się przez slumsy, co zajęło mi dobre dwie godziny. Byłem

coraz bardziej niespokojny i pobudzony. Wiedziałem, że wokół mnie dzieją się lub będą się działy niezwykle istotne sprawy, a pomimo tego, że od początku odgrywałem we wszystkim istotną rolę, odnosiłem wrażenie, że zostałem zepchnięty na margines. Royer wysiada teraz zapewne w Dover, sir Walter naradza się z wtajemniczonymi ludźmi, a Czarny Kamień czai się gdzieś w mroku i knuje. Wyczuwałem nadciągające niebezpieczeństwo i zbliżająca się katastrofę, żywiąc jednocześnie dziwaczne przekonanie, że tylko ja mogę jej zapobiec i stawić czoło zagrożeniu. Musiałem jednak czekać. Zresztą jakże mogło być inaczej? Przecież ministrowie, lordowie, generałowie i admiralicja nie dopuszczą mnie do swoich narad.

Zaczynałem żałować, że nie mogę się po prostu rzucić na trójkę moich wrogów. To na pewno przyniosłoby jakieś rozstrzygnięcia. Najchętniej wdałbym się w ordynarną bójkę i poprzetrzącał kilka karków. Miałem coraz gorszy nastrój.

Nie chciałem wracać do mieszkania. Kiedyś to zrobię, ale na razie miałem przy sobie wystarczającą ilość pieniędzy, by spędzić noc w hotelu i mogłem tę wizytę odłożyć do rana.

Podły nastrój nie opuścił mnie nawet w czasie kolacji, którą zjadłem w szarym lokalu przy Jermyn Street. Nie dopisywał mi apetyt, a kilka dań wróciło do kuchni nietkniętych. Wypiłem większość butelki burgunda, ale to również nie wprawiło mnie w lepszy humor. Dręczyła mnie nieodparta chęć działania. Mimo że byłem zupełnie przeciętnym, niezbyt rozgarniętym dżentelmenem, wierzyłem, że bez mojego udziału wszystko się posypie, że tylko ja jestem w stanie doprowadzić to do końca. Starłem się przekonać samego siebie, że to idiotyczny pomysł, w końcu sprawy znajdowały się w rękach czterech czy pięciu najbystrzejszych ludzi w Imperium. Nic to jednak nie dawało. Uporczywy głos w mojej głowie wciąż powtarzał, że muszę coś zrobić, jeśli kiedykolwiek chcę spokojnie zasnąć.

Skończyło się na tym, że o wpół do dziewiątej postanowiłem znów odwiedzić dom przy Queen Anne's Gate. Najpewniej nie wpuszczą mnie do środka, ale dla spokoju sumienia nie mogłem nie spróbować.

Skręciłem z Jermyn na Duke Street, mijając grupkę elegancko odzianych młodzieńców. Najwyraźniej wyszli z restauracji i zmierzali do teatru. Jednym z nich okazał się szanowny pan Marmaduke Jopley.



Na mój widok stanął jak wryty.

— Mój Boże, to ten morderca! — wrzasnął. — Tutaj! Łapcie go, koledzy! To Hannay, zabójca z Portland Place!

Chwycił mnie za ramię, a wokół natychmiast zgromadził się tłumek. Nie chciałem wywoływać zamieszania, ale rozsadzająca mnie furia sprawiała, że zachowywałem się jak głupiec. Kiedy podszedł do nas policjant, powinienem był mu wszystko spokojnie wyjaśnić lub poprosić, by odprowadził mnie do Scotland Yardu albo na najbliższy posterunek. Ale nie potrafiłem znieść myśli o możliwym opóźnieniu, a widok durnej gęby Marmiego tylko potęgował moją irytację. Wyprowadziłem więc solidny lewy prosty i z nieskrywaną satysfakcją posłałem Jopleya do rynsztoka.

Wybuchła nieopisana awantura. Wszyscy rzucili się na mnie z pięściami, a policjant zaszedł mnie od tyłu. Oberwałem porządnie raz czy dwa i w uczciwej walce poradziłbym sobie z nimi bez trudu, ale trzymał mnie gliniarz, a jeden z towarzyszy Marmiego ścisnął mnie za gardło.

Mimo oślepiającego gniewu, usłyszałem, jak policjant dopytywał, o co poszło i odpowiedź Marmiego, który sepleniąc przez wybite zęby, oznajmił, że jestem ściganym mordercą Hannayem.

— Jasny szlag! — jęknąłem. — Niech ktoś uciszy tego gościa! Panu zaś doradzałbym zostawienie mnie w spokoju. Dostałaby się panu bura od Scotland Yardu, gdyby mi pan przeszkodził, konstablu. Oni o wszystkim wiedzą.

— Musi pan pójść ze mną, młody człowieku — uparł się policjant. — Widziałem, jak pan pobił tego dżentelmena. Sam pan rozpoczął tę awanturę. Proszę się zachowywać spokojnie, albo pana skuje.

Desperacja i przekonanie, że nie mogę sobie pozwolić na żadną zwłokę, dały mi siłę słonia. Wyrwałem się z uścisku konstabla, wyróciłem mężczyznę, który wciąż trzymał mnie za kołnierz i pobiegłem pełnym pędem przez Duke Street. Za moim plecami rozległ się świst policyjnego gwizdka i tupot stóp pogoni.

Biegłem tej nocy, jakby wyrosły mi skrzydła. W mgnieniu oka znalazłem się na Pall Mall, skąd skręciłem w stronę parku Świętego Jakuba. Wyminąłem policjanta przy pałacowej bramie i nurkując pomiędzy dorożkami wpadłem na Mall, a zanim moi prześladowcy przedostali się na drugą stronę drogi, gnałem już po moście. Na

parkowych ścieżkach nabrałem tempa, na szczęście żadna z nielicznych mijanych osób nie próbowała mnie zatrzymać. Robiłem wszystko, by dotrzeć do Queen Anne's Gate.

Wpadłem do opuszczonego zaułka. Dom sir Waltera znajdował się w węższym końcu ulicy i parkowały przed nim trzy lub cztery samochody. Zwolniłem nieco i skierowałem się prosto do drzwi. Liczyłem na to, że kamerdyner wpuści mnie bez wahania, w przeciwnym wypadku byłem skończony.

Na szczęście wystarczył jeden dzwonek.

— Muszę się zobaczyć z sir Walterem — wysapałem, gdy otwarły się drzwi. — To niezwykle ważne.

Kamerdyner okazał się sługą doskonałym. Z niezmiennym wyrazem twarzy uchylił drzwi nieco szerzej, wpuszczając mnie do środka, po czym je zatrasnął.

— Sir Walter jest aktualnie zajęty — oznajmił. — Prosił, aby nikogo nie wpuszczać. Zechce pan poczekać.

Dom był staroświecką rezydencją pełną przestronnych korytarzy z pokojami po obu stronach. Sługa odprowadził mnie do alkowy na tyłach, gdzie wskazał mi jedno z krzeseł stojących niedaleko telefonu.

— Proszę uważać — szepnąłem. — Razem ze mną mogą pojawić się kłopoty. Sir Walter o tym wie, pracuję dla niego. Gdyby ktokolwiek pytał, czy pan mnie widział, proszę zaprzeczyć.

Skinął głową, podczas gdy od strony ulicy dał się słyszeć gwar podniesionych głosów. Chwilę później ktoś wściekle wduśił przycisk dzwonka. Jeszcze nigdy nikogo tak bardzo nie podziwiałem, jak tego dzielnego kamerdynera. Otworzył drzwi i stanął w nich z poważną miną, oczekując na pytania. Odpowiedział im, czyj to dom i jakie wydano mu polecenia, a potem po prostu kazał im odejść. Przyglądałem się temu wszystkiemu z alkowy, mając więcej uciechy niż z wszystkich przedstawień w teatrze.

Kolejny gość nie dał na siebie długo czekać. Tym razem kamerdyner otworzył drzwi bez żadnych oporów.

Przyjrzałem mu się, gdy oddawał płaszcz. Trudno było nie rozpoznać tej twarzy — pojawiała się we wszystkich gazetach. Szpiczasta srebrna broda, zaciśnięte wojowniczo usta, szeroki, płaski nos i przenikliwe, niebieskie oczy. Miałem przed sobą Pierwszego Morskiego

Lorda, człowieka, który, jak powiadano, stworzył nową brytyjską flotę.

Minął moją alkowę i skierował się do pokoju na tyłach korytarza. Zza otwartych drzwi dobiegł mnie szum przyciszonych głosów. Chwilę później znów zapadła cisza i zostałem sam.

Siedziałem tak dobrych dwadzieścia minut, zastanawiając się, co dalej. Nadal byłem przekonany, że jestem niezbędny, choć nie wiedziałem komu i do czego. Wciąż spoglądałem na zegarek, a kiedy wskazówki pokazały wpół do jedenastej, uznałem, że narada powinna się mieć już ku końcowi. Za mniej więcej kwadrans Royer wyruszy samochodem z Portsmouth...

Dźwięk dzwonka ponownie przywołał kamerdynera. Z pokoju na tyłach wyszedł Pierwszy Morski Lord i skierował się do wyjścia. Mijając alkowę spojrzał w moją stronę i przez sekundę patrzyliśmy sobie w oczy.

To wystarczyło, aby moje serce na chwilę zamarło. Nigdy wcześniej nie spotkałem tego znakomitego człowieka, on także wcześniej mnie nie znał. Mimo to w jego oczach coś się pojawiło, tak jakby mnie rozpoznał. Nie można tego pomylić. To coś jak błysk, iskierka w oku, swoista zmiana, która trwa ułamek chwili i znaczy tylko jedno. Pojawiła się nagle i natychmiast zniknęła. Minął mnie, a ja, pogrążony w chaotycznych rozmyślaniach, usłyszałem trzask drzwi zamykających się za jego plecami.

Sięgnąłem po książkę telefoniczną i odszukałem numer telefonu w jego posiadłości. W słuchawce odezwał się głos służącego.

— Czy zastałem może jego lordowską mość? — zapytałem

— Jego lordowska mość wrócił pół godziny temu — odpowiedział sługa. — Natychmiast udał się na spoczynek. Nie czuł się najlepiej. Czy mam coś przekazać, sir?

Przerwałem połączenie i zerwałem się z krzesła. Moja rola jeszcze się nie skończyła. Udało mi się wkroczyć w ostatnim momencie.

Nie tracąc ani chwili wszedłem bez pukania do pokoju na tyłach korytarza.

Znad okrągłego stołu przyglądała mi się piątka zaskoczonych twarzy. Miałem przed sobą sir Waltera i ministra wojny, którego rozpoznawałem z fotografii, siedział z nimi także szczupły starszy mężczyzna, w którym domyśliłem się Whittakera, jak również przedstawiciel admiralicji i generał Winstanley z rzucającą się w oczy

charakterystyczną blizną przecinającą czoło. Ostatnim z obecnych był niski, tęgi człowiek z stalowoszarym krzaczastym wąsem, który na mój widok zamilkł w połowie zdania.

Sir Walter spojrział na mnie poirytowany i zaskoczony.

— To pan Hannay, o którym wam wspominałem — wyjaśnił przepraszającym tonem. — Obawiam się, że przychodzi pan bardzo nie w porę.

— To się dopiero okaże, sir — odpowiedziałem, zachowując spokój. — Moim zdaniem nie mogłem trafić lepiej. Powiedzcie mi, panowie, na Boga, kim był ów mężczyzna, który przed chwilą was opuścił?

— To lord Alloa. — Twarz sir Waltera poczerwieniała z gniewu.

— Ależ nie! — zakrzyknąłem. — Wyglądał jak on, ale to nie był lord Alloa. Ten człowiek mnie rozpoznał, a ja widziałem go nie dalej jak w zeszłym miesiącu. Kiedy tylko wyszedł, zadzwoniłem do rezydencji lorda i powiedziano mi, że jego lordowska mość od pół godziny spoczywa w łóżku.

— Któż... Któż więc...? — zajęczał któryś z urzędników.

— Czarny Kamień — odpowiedziałem, opadając na dopiero co zwolnione krzesło i patrząc na przerażone twarze pięciu dżentelmenów.

## 9. Trzydzieści dziewięć schodów

— Nonsens! — oznajmił w końcu przedstawiciel admiralicji.

Sir Walter wstał od stołu i wyszedł, podczas gdy pozostali mężczyźni wbijali spojrzenia w blat. Nasz gospodarz wrócił dziesięć minut później, a na jego twarzy malował się smutek.

— Rozmawiałem z Alloą — wyjaśnił. — Rozzłościł się, że wyciągam go z łóżka. Wrócił do domu natychmiast po kolacji u Mullrosa.

— Przecież to jakiś obłąd — wtrącił się generał Winstanley. — Chcecie mi powiedzieć, że siedziałem naprzeciw tego człowieka przez ponad pół godziny i nie zauważyłem sobowtóra? Alloa chyba oszalał.

— Naprawdę nie dostrzega pan skali przebiegłości? — zapytałem. — Zbyttno zajmowały was inne sprawy, byście mieli zwracać uwagę na drobiazgi. Przyjęliście za pewnik, że stoi przed wami lord Alloa. Na pewno przyjrzelibyście się uważniej mając do czynienia z kimś mniej znanym, a tak wasza czujność została uśpiona.

W tej chwili odezwał się Francuz.

— Ten młodzieniec ma rację — mówił powoli, ale angielszczyznę miał godną pozazdroszczenia. — Nasi wrogowie nie są głupcami, a ten człowiek doskonale zrozumiał ich psychikę. — Royer zmarszczył z namysłem brwi. — Opowiem panom pewną historię. Przed laty trafiłem na odległą placówkę w Senegalu, gdzie większość czasu upływała mi na łowieniu brzan w pobliskiej rzece. Dano mi arabską klacz, która zwykle nosiła za mną koszyk z prowiantem: jedno z tych srokatych zwierząt sprowadzanych w owym czasie z Timbaktu. Pewnego razu trafił mi się nadzwyczaj udany połów, jednak klacz tego dnia zachowała się z jakiegoś powodu nad wyraz niespokojnie. Ciągle przebierała kopytami, prychała i parskła donośnie, ja zaś próbowałem ją uspokoić kojącymi słowy, starając się jednocześnie skupić na rybach. Nie traciłem jej z oka, albo tak mi się przynajmniej wydawało, i co chwilę spoglądałem w stronę oddalonego o jakieś dwadzieścia jardów drzewa, do którego ją przywiązałem. Po kilku godzinach poczułem głód, schowałem więc złowione ryby do brezentowej torby i ruszyłem w kierunku klaczy, jednocześnie zwijając żyłkę wędki. Chciałem wrzucić pakunek na grzbiet

zwierzęcia, gdy...

Zrobił dramatyczną pauzę i powiódł wzrokiem po zebranych.

— Na szczęście ostrzegł mnie zapach. Kiedy się odwróciłem, spojrzałem wprost w ślepią lwa, stojącego trzy stopy ode mnie... Stary ludożerca od dawna był postrachem okolicznych wiosek. Resztki mojej kłaczy, kupka kości i zakrwawionych ochłapów leżały tuż za nim.

— I co dalej? — ponagliłem, rozpoznając w jego słowach prawdziwą myśliwską opowieść.

— Najpierw zdzieliłem go wędką w pysk, a potem sięgnąłem po pistolet, który miałem przy sobie. Na szczęście moi słudzy momentalnie pospieszyli ku nam z bronią. Ale bestia i tak zdążyła mnie naznaczyć.

Podniósł dłoń i zobaczyliśmy, że brakuje u niej trzech palców.

— Proszę zauważyć — ciągnął swoją opowieść — że kłacz musiała zginąć jakąś godzinę wcześniej, a lew od tej pory cierpliwie obserwował mnie z krzaków. Tak przywykłem do wierzgania kłaczy, że nie zauważyłem kiedy zginęła. Moja świadomość rejestrowała konia jako bury kształt przy drzewie i nie zwróciłem uwagi, że jej miejsce zajął ludojad. Wydaje mi się, moi panowie, że skoro coś takiego przytrafiło mi się w dziczy, gdzie człowiek bez ustanku zachowuje czujność, to dlaczego nie założyć, że również w mieście mogłoby dojść do takiej omyłki, zwłaszcza że wszyscy byliśmy zajęci czymś innym?

Sir Walter pokiwał głową. Nikt nie ośmielił się zaprotestować.

— Nadal tego nie rozumiem — stwierdził Winstanley. — Przecież zależało im na zdobyciu rozkazów, tak żebyśmy się nie spostrzegli. Wystarczyłoby, żeby któryś z nas przypomniał Alloi o naszym dzisiejszym spotkaniu i wszystko wyszłoby na jaw.

— To akurat świadczy o ich przenikliwości — uśmiechnął się kwaśno sir Walter. — Który z nas ośmieliłby się go o to spytać? A może należy do tych, którzy gadają po próżnicy?

Przypomniało mi się, że Pierwszy Morski Lord słynął z gwałtownego temperamentu i małomówności.

— Jedno mnie wciąż zastanawia — odezwał się z namysłem generał. — Jaką odnieśli korzyść z tej wizyty? Przecież ten człowiek nie mógł zapamiętać kilku stron dokumentów wypełnionych liczbami i dziwnymi nazwiskami.

— Dobremu szpiegowi nie powinno to sprawić trudności —

wyjaśnił Francuz. — Ćwicz się ich, by mieli fotograficzną pamięć. Jak nie przymierzając wasz Macaulay. Zauważyliście zapewne, że nie odezwał się ani słowem i przeglądał te papiery bez końca, tam i z powrotem. Myślę, że śmiało możemy założyć, że zapamiętał każdy drobiazg. Sam to potrafiłem, mając nieco mniej lat niż teraz.

— Cóż — westchnął ze smutkiem sir Walter. — Nie pozostaje nam chyba nic innego, jak zmiana planów.

Whittaker zmierzył go posępnym spojrzeniem.

— Powiedział pan lordowi Alloi, co tu się stało? — zapytał. — Nie? Nie jestem całkowicie pewien, ale mam wrażenie, że chcąc zmienić rozkazy, musielibyśmy zmienić topografię naszej wyspy.

— Powinniśmy pamiętać o jeszcze jednej rzeczy — wtrącił Royer. — Rozmawialiśmy przy tym człowieku zupełnie swobodnie. Miałem pozwolenie, by zdradzić panom niektóre z planów mojego rządu. Tego rodzaju informacje są dla naszych przeciwników warte wiele milionów. Wydaje mi się, że nie mamy innego wyjścia, przyjaciele — konieczne jest schwytanie naszego dzisiejszego gościa i jego towarzyszy. Zgarnijmy ich wszystkich na raz.

— Na Boga! — westchnąłem. — Przecież nie mamy żadnych tropów.

— Nie zapominajmy o istnieniu poczty — dodał Whittaker. — Informacje mogły już zostać przekazane.

— Nie — sprzeciwił się Francuz. — To nie leży w naturze szpiegów. Osobiście dostarczają informacje i odbierają zapłatę do ręki. Poznaliśmy się na nich trochę we Francji. Wciąż mamy szansę, mes amis. Na pewno spróbują się jakoś przedostać przez morze, trzeba więc obserwować porty i przeszukać statki, Uwierzcie mi, to gardłowa sprawa dla obu naszych krajów.

Powaga Royera pozwoliła nam wziąć się w garść. Był to zdecydowanie człowiek czynu, wrzucony w sam środek gromady partaczy. Pozostali, łącznie ze mną, nie potrafili wzbudzić w sobie nadziei. Żaden z nas nie wiedział, jak w ciągu dwunastu godzin dopaść trzech najsprytniejszych łotrów Europy, ukrywających się wśród pięćdziesięciomilionowej rzeszy mieszkańców wysp.

Nagle spłynęło na mnie natchnienie.

— Gdzie notatnik Scuddera? — wrzasnąłem do sir Waltera. — Przypomnij sobie, człowieku! Pamiętam, że coś w nim znalazłem!

Gospodarz natychmiast pospieszył do gabinetu i przyniósł zapiski. Odnalazłem właściwą stronę i zacząłem czytać:

— „Trzydzieści dziewięć schodów, policzyłem je wszystkie, przyływ o 22.17”.

Człowiek z admiralicji spojrzał na mnie, jakby zobaczył szaleńca.

— Nie rozumiecie, że to wskazówka? — znowu zacząłem krzyczeć. — Scudder wiedział, gdzie jest nora tych drani. Wiedział również, skąd odpłyną, ale postanowił zatrzymać tę informację dla siebie. Wydarzy się to jutrzejszego dnia, w miejscu, gdzie przyływ nadchodzi o 22.17.

— Skąd pan wie, że to nie dziś? — zapytał któryś z pozostałych.

— Nie. Oni nie będą się spieszyć, mają bezpieczny plan potajemnej ucieczki. Znam Niemców, mają sporego bzika na punkcie działania według planu. Powiedzcie mi, gdzie u diabła znajdę księgę z tabelami pływów?

Twarz Whittakera nagle pojaśniała.

— Mamy jeszcze szansę! — zawołał. — Jedźmy do siedziby admiralicji.

Wpakowaliśmy się do dwóch samochodów, sir Walter zaś pojechał do Scotland Yardu, by, jak to sam określił „zmobilizować MacGillivraya”. Przemaszerowaliśmy przez długie korytarze i puste komnaty budynku admiralicji, po którym uwijały się sprzątaczkę, i dotarliśmy do położonego na tyłach niewielkiego gabinetu pełnego map i ksiąg.

Przywołano bibliotekarza, który przyniósł nam tabele z biblioteki. Otoczony przez pozostałych mężczyzn, którzy z jakiegoś powodu uznali, że to ja stoję na czele tej ekspedycji, zasiadłem przy stole i zajrzałem do księgi.

Niestety! W tabelach znajdowały się setki wpisów, a godzina 22.17 — z tego, co zdołałem się zorientować — występowała w nich co najmniej pięćdziesięciokrotnie. Należało zawęzić zakres poszukiwań.

Oparłem głowę na dłoniach i zacząłem myśleć. Musiało istnieć rozwiązanie tej zagadki. Jakie znaczenie mogły mieć schody opisane przez Scuddera? Przez chwilę rozważałem schody w porcie, ale w takim wypadku nie wspominałby raczej o ich liczbie. Zapewne znajdowały się wśród innych schodów i różniły się od innych tym, że miały trzydzieści dziewięć stopni.

Tknięty nagłą myślą, sprawdziłem godziny odpływu wszystkich



parowców kierujących się na kontynent. Żaden z nich nie wyruszał o 22.17.

Dlaczego przyływ był taki istotny? Liczył się tylko w przypadku płytkich portów i łodzi z głębokim zanurzeniem. Nie sądziłem, że mogliby uciekać na parowcu odpływającym ze zwyczajnego portu, a jak już wspomniałem, żaden z takich statków nie wypływał o tej porze. Chodziło więc o niewielką przystań, lub też, co całkiem możliwe, miejsce bez żadnej przystani, gdzie przyływ miałby spore znaczenie.

Jeśli jednak w grę wchodziła niewielka przystań, to nadal nie rozumiałem znaczenia schodów. W żadnym ze znanych mi portów nie natknąłem się na schody. Czy chodzi o specjalne schody w miejscu, w którym o 22.17 zaczyna się przyływ? Z jednej strony opis mógł wskazywać na otwarte wybrzeże, z drugiej zaś wzmianka o stopniach wciąż nie dawała mi spokoju.

Postanowiłem spojrzeć na problem szerzej. Skąd mógłby odpłynąć do Niemiec ktoś w wielkim pośpiechu, komu zależy na szybkiej i potajemnej podróży? Na pewno nie z dużych portów. Ani — pamiętając, że wyrusza z Londynu — nie z zachodniego wybrzeża, ze Szkocji czy z Kanału. Próbując postawić się w położeniu moich wrogów, zmierzyłem na mapie odległości i na ich miejscu próbowałbym odpłynąć ze wschodniego wybrzeża, gdzieś spomiędzy Cromer i Dover, i kierując się do Ostendy, Antwerpii lub Amsterdamu.

Wszystko to opierało się na bardzo wątplych przesłankach i nie zamierzam udawać, że stoją za tym jakieś naukowe podstawy. Żaden ze mnie Sherlock Holmes, zawsze jednak miałem poczucie, że instynkt mnie w takich sprawach nie zawodzi. Nie wiem, czy potrafię to jasno wytłumaczyć, ale wykorzystuję swój umysł do granic możliwości, a kiedy dochodzę do ściany, zgaduję i zazwyczaj się przy tym nie mylę.

Spisałem wszystkie wnioski na papierze listowym admiralicji. Wyglądało to tak:

W miarę pewne informacje:

1 — Miejsce z kilkoma ciągami schodów, jedno z nich składają się z trzydziestu dziewięciu stopni.

2 — Przyływ o 22.17 to jedyna możliwości opuszczenia brzegu.

3 — Nie są to schody portowe, prawdopodobnie można wykluczyć

duże nabrzeża.

4 — Brak regularnych kursów o 22.17. Co oznacza, że ich środkiem transportu jest frachtowiec (raczej niemożliwe), jacht lub rybacka łódź.

Tutaj kończyła się moja wiedza, stworzyłem więc kolejną listę zatytułowaną „Domysły”, choć właściwie tych informacji byłem równie pewien co poprzednich.

Domysły:

- 1 — Raczej nie port, tylko otwarte wybrzeże.
- 2 — Mała łódź: trawler, jacht lub motorowa szalupa.
- 3 — Miejsce ucieczki gdzieś pomiędzy Cromer a Dover.

Nagle poczułem całą niezwykłość sytuacji. Miałem za sobą ministra, marszałka polowego, dwóch wysokich rangą urzędników rządowych i francuskiego generała, którzy przyglądają się w milczeniu, jak za pomocą zapisków nieboszczyka próbuję rozwikłać tajemnicę, będącą dla wszystkich kwestią życia i śmierci.

Ponownie dołączył do nas sir Walter, przyprowadzając ze sobą MacGillivraya. Rozesłano rozkaz przeszukania portów i dworców oraz nakaz zatrzymania trójki mężczyzn, których opisałem sir Walterowi, nikt jednak nie wierzył, że przyniesie to jakikolwiek skutek.

— Oto, do czego doszedłem — oznajmiłem zebranym. — Musimy odnaleźć miejsce, w którym na plażę prowadzą schody. Jedne z nich składają się z trzydziestu dziewięciu stopni. Podejrzewam, że będzie to gdzieś pomiędzy Wash i Kanałem: otwarte wybrzeże z wysokimi klifami. Miejsce, w którym jutrzejszy przyływ nadejdzie o 22.17.

Nagle znowu coś mi przyszło do głowy.

— Możemy się skontaktować z jakimś inspektorem straży morskiej, albo kimś, kto zna wschodnie wybrzeże?

Whittaker odparł, że zna takiego człowieka, mieszkał w Clapham. Kiedy pojechał po niego samochodem, reszta z nas tłoczyła się w niewielkim gabinecie, paplając o wszystkim, co przyszło nam do głowy. Raz jeszcze przyjrzałem się zapiskom, ale mój zmęczony mózg odmawiał dalszej pracy.

Przedstawiciel straży morskiej zjawił się około pierwszej w nocy.

Okazał się sympatycznym staruszkim o wyglądzie oficera marynarki, który odnosił się do nas z bezbrzeżnym szacunkiem. Poprosiłem ministra wojny, aby go o wszystko wypytał, obawiałem się bowiem, że ze mną będzie bardziej powściągliwy.

— Szukamy miejsca na wschodnim wybrzeżu — poinformował go minister. — Wiemy, że są tam klify oraz schody prowadzące na plażę.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

— Może pan powiedzieć coś więcej o tych schodach, sir? — poprosił. — Klify są w wielu miejscach poprzecinane drogami i przy większości z nich znajdują się schodki. Czy też chodzi wam o takie schody zrobione przez człowieka? Prawdziwe, znaczy się?

Sir Arthur spojrział w moją stronę.

— Prawdziwe. Takie, które wykuł człowiek — odpowiedziałem.

Strażnik zamilkł na jakąś minutę czy dwie.

— Nic mi nie przychodzi do głowy — stwierdził w końcu. — Chociaż... Jest takie miejsce w Norfolk, zwie się Brattelsham. Za polem golfowym dobudowano kilka par schodów, aby dżentelmenom było łatwiej odzyskać stracone piłeczki.

— Nie, to raczej nie to — pokręciłem głową.

— W każdym kąpielisku znajdzie pan też schodkowe trybuny przygotowane na parady.

— To musi być bardziej ustronne miejsce — doprecyzowałem.

— No cóż, panowie... Nic innego nie wymyślę. Jest jeszcze oczywiście Ruff...

— Co takiego? — Zastrzygłem uszami.

— Wielki kredowy cypel nieopodal Bradgate w Kent. Na szczycie stoją eleganckie wille i niektóre z nich mają schody prowadzące na prywatne plaże. To bardzo eleganckie miejsce, a jego mieszkańcy unikają kontaktów z obcymi.

Natychmiast zajrzałem do tabel pływów i wyszukałem Bradgate. Zgodnie z opisem, piętnastego czerwca przyływ zaczynał się tam o 22.27.

— Chyba wreszcie mamy jakiś ślad! — zawołałem radośnie. — Od mogę się dowiedzieć, o której zacznie się jutrzejszy przyływ w okolicach Ruff?

— Na przykład ode mnie — odezwał się strażnik. —

Wynajmowałem tam kiedyś dom, właśnie w czerwcu, i każdej nocy wyprawiałem się na ryby. Przyptyw zaczyna się dziesięć minut wcześniej niż w Bradgate.

Zamknąłem księgę i powiodłem wzrokiem po otaczających mnie twarzach.

— Jeśli którekolwiek z tych schodów mają trzydzieści dziewięć stopni, to myślę, panowie, że udało nam się rozwiązać tę zagadkę. — Spojrzałem na sir Waltera. — Chciałbym pożyczyć pański samochód oraz mapę. Jeśli pan MacGillivray zechce mi poświęcić dziesięć minut, to wydaje mi się, że możemy coś wymyślić na jutro.

Choć w moich oczach objęcie przeze mnie dowodzenia zakrawało na absurd, żadnemu z nich ten fakt nie przeszkadzał. Ta afera dotyczyła mnie od samego początku, a poza tym jestem przyzwyczajony do ciężkich zadań i ci dżentelmeni byli zbyt mądrzy, by tego nie dostrzec. Potwierdzenie przyszło ze strony generała Royera.

— Cieszę się, że sprawa spoczęła w pańskich rękach, panie Hannay — oznajmił.

O wpół do czwartej nad ranem mknąłem z pełną prędkością po oświetlonych księżycowym blaskiem drogach Kentu, mając przy sobie jednego z najlepszych ludzi MacGillivraya.

## 10. Spotkanie nad morzem

Różowobłękitny czerwcowy poranek zastał mnie przy oknie w hotelu Griffin w Bradgate, skąd patrzyłem na spokojne morze i latarniowiec stojący na mieliznach w pobliżu Cork, który z tej odległości zdawał się nie większy od boi. Kilka mil na południe, znacznie bliżej wybrzeża kotwiczył niewielki niszczyciel. Towarzyszący mi człowiek MacGillivraya nazwiskiem Scaife miał za sobą służbę w marynarce i znał tę łódź oraz jej kapitana, co umożliwiło mi wysłanie kablogramu do sir Waltera.

Po śniadaniu Scaife wy dobył od miejscowego agenta nieruchomości klucze do furtek zabezpieczających schody na Ruff. Ruszyłem z nim na plażę i przysiadłem w niewielkim zagłębieniu klifu, podczas gdy Scaife sprawdził z pół tuzina schodów. Zależało mi, by nikt mnie nie zauważył, ale o tej porze plaża była zupełnie pusta, jeśli nie liczyć mew.

Wykonanie powierzonej roboty zajęło Scaifemu dobrą godzinę, kiedy zaś zobaczyłem, że zbliża się ku mnie dzierżąc w ręku zapisany skrawek papieru, poczułem, że serce podchodzi mi do gardła. Tak wiele zależało od tego, czy moje domysły okazały się słuszne.

Mój pomocnik odczytał na głos liczby stopni odpowiadające sprawdzonym schodom.

— Trzydzieści cztery, trzydzieści pięć, trzydzieści dziewięć, czterdzieści dwa, czterdzieści siedem. I dwadzieścia jeden tam, gdzie klif jest niższy — dodał na zakończenie.

Omaliem nie zacząłem krzyczeć z radości. Pospieszyliśmy do miasteczka, by wysłać telegram do MacGillivraya. Prosiłem go o tuzin ludzi, których chciałem rozstawić w kilku wcześniej upatrzonych hotelach. Scaife pozostawił mnie samego i wyruszył zasięgnąć języka na temat domu o trzydziestu dziewięciu stopniach.

Wrócił jakiś czas później, przynosząc jednocześnie dobre i zaskakujące wieści. Dom zwano Trafalgar Lodge i stanowił własność pewnego starszego emerytowanego maklera nazwiskiem Appleton — tak przynajmniej twierdził agent. Pan Appleton spędzał w rezydencji zazwyczaj całe lato i był w niej również teraz, przyjechawszy na

początku tygodnia. Scaife nie miał zbyt wielu informacji na jego temat, poza tym, że wszyscy uważali pana Appletona za miłego starszego człowieka, który regularnie opłacał swoje rachunki, a miejscowe organizacje dobroczynne zawsze mogły liczyć na wsparcie z jego strony. Scaife zapukał do kuchennych drzwi domostwa i podając się za sprzedawcę maszyn do szycia odkrył, że domem zajmuje się trójka służących: kucharka, pokojówka i sprzątaczką. Wszystkie dokładnie w takim typie, jakiego można się spodziewać w szacownej rezydencji klasy średniej. Kucharka nie należała do gadatliwych, więc mój pomocnik został szybko wyproszony, ale jego zdaniem te kobiety o niczym nie wiedziały. Willa sąsiadowała z jednej strony z pustym, dopiero co wybudowanym domem, który stanowił dla nas doskonały punkt obserwacyjny, z drugiej zaś przylegała do niej — stojąca pośrodku zapuszczonego ogrodu — rezydencja do wynajęcia.

Pożyczywszy od Scaife'a lunetę, ruszyłem przed lunchem na długi spacer po Ruff. Na tyłach willowych posiadłości znalazłem świetny punkt obserwacyjny, gdzie ukryłem się na skraju pola golfowego. Rozciągał się stamtąd widok aż na szczyt klifu okolony ławeczkami i niewielkimi parkanikami stojącymi wśród kwiatów i krzewów, które zabezpieczały wejścia na schody wiodące ku plaży. Przyjrzałem się czerwonym ścianom Trafalgar Lodge, otaczającej budynek werandzie, kortowi tenisowemu i zwyczajnemu ogródkowi porośniętemu stokrotkami i geranium. Ze słupa przed domem zwisała smętnie gigantyczna brytyjska flaga.

W pewnej chwili zauważyłem postać, która wyszła z willi i ruszyła wolnym krokiem w stronę klifu. Przez lunetę odkryłem, że jest to starszy mężczyzna w białych flanelowych spodniach, błękitnej marynarce z serży, kryjący twarz w cieniu słomkowego kapelusza. Trzymał lornetkę oraz gazetę. Chwilę później zasiadł na jednej z metalowych ławeczek i zabrał się do lektury. Od czasu do czasu odkładał gazetę na bok i uważnie lustrował morze za pomocą lornetki. Zauważyłem, że przez dłuższą chwilę skupiał się na niszczycielu. Przyglądałem mu się przez dwa kwadransy, aż w końcu podniósł się z ławki i wrócił do domu na lunch. Nie pozostało mi nic innego, jak pójść w jego ślady i zjeść coś w hotelu.

Nie czułem się zbyt podniesiony na duchu. To przeciętne i spokojne domostwo nijak nie pasowało do moich wyobrażeń. Staruszek

mógł być łysym archeologiem, którego spotkałem w przerażającym domostwie na wrzosowiskach, nie dałbym za to głowy. Sprawiał wrażenie typowego, zadowolonego z siebie emeryta, od których roіło się na wszystkich cichych przedmieściach i w każdym kurorcie. Gdybyście chcieli znaleźć najłagodniejszego człowieka w okolicy, wskazałoby się pewnie na niego.

Siedząc po posiłku na hotelowej werandzie wreszcie zobaczyłem coś, na co tak bardzo czekałem. Z południa nadpłynął jacht, który zarzucił kotwicę dokładnie na wprost cypla. Na oko miał jakieś sto pięćdziesiąt ton wyporności, a widoczna z tej odległości biała bandera wskazywała na jego przynależność do Królewskiego Szwadronu Jachtów. W związku z tym razem ze Scaifem zeszliśmy na nabrzeże, wynajęliśmy łódź i wypłynęliśmy ze sternikiem na połów ryb.

Było to bardzo przyjemne, ciepłe popołudnie. Złowiliśmy około dwudziestu funtów różnych gatunków dorsza, a roztańczone błękitne fale zdecydowanie poprawiły mi nastrój. Z pokładu łódki roztaczał się doskonały widok na upstrzone zielono-czerwonymi willami klify Ruff i flagę powiewającą przed Trafalgar Lodge. Zakończyliśmy połów około szesnastej i poprosiłem sternika, by podpłynął bliżej jachtu, który kołysał się na wodzie niczym delikatny biały ptak, gotów w każdej chwili zerwać się do lotu. Scaife uznał, że łódź o takiej konstrukcji musi być niezwykle szybka, zwrócił również uwagę na jej potężny silnik.

Patrząc na czapkę jednego z mężczyzn, którzy polerowali okucia na pokładzie jachtu, dowiedziałem się, że nazywa się on „Ariadna”. Wdałem się z nim w krótką rozmowę, z której wywnioskowałem, że marynarz posługuje się miękką gwarą z Essex. Majtek zapytany o godzinę, odpowiedział nienaganną angielszczyzną. Nasz sternik dyskutował z nimi przez chwilę o pogodę i kilka minut staliśmy burta w burcie.

Nagle marynarze rozpięchli się po pokładzie i pochyłili ponownie nad swoją robotą. Na pokładzie pojawił się jeden z oficerów. Był młody, przystojny, gładko ogolony i doskonałą angielszczyzną zadał nam kilka pytań na temat połowu. Tym razem nie miałem żadnych wątpliwości: jego krótko ścięte włosy, krój kołnierzyka i krawat wyraźnie wskazywały, że nie miał nic wspólnego z Anglią.

Poczułem się nieco pewniej, ale wiosłując z powrotem do Bradgate, wciąż zmagalem się z nurtującymi mnie wątpliwościami. Najbardziej

martwiło mnie to, że wszystkie moje informacje pochodziły od Scuddera i nasi wrogowie doskonale zdawali sobie z tego sprawę. To Scudder odkrył to miejsce. A skoro o tym wiedzieli, cóż mogło ich powstrzymać przed zmianą planów? Gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę, by ryzykować. Pytanie więc, jak orientowali się w postępach dochodzenia Scuddera. Zeszłego wieczoru mówiłem z dużym przekonaniem o niemieckim upodobaniu do działania według planu, wierzyłem jednak, że nie są aż takimi głupcami, by nie zareagować, jeśli staną w obliczu niebezpieczeństwa. Zastanawiałem się, czy mężczyzna, który wkradł się na wczorajsze spotkanie ma świadomość, że go rozpoznałem. Łudziłem się, że niczego się nie domyślił. Jeszcze nigdy cała sprawa nie wydawała się tak skomplikowana i niemożliwa do rozwikłania jak tego popołudnia, a przecież wedle wszelkich kalkulacji powinienem się radować z nadchodzącego sukcesu.

W hotelu Scaife przedstawił mnie kapitanowi niszczyciela i zamieniłem z nim kilka słów. Potem uznałem, że nadeszła pora by znów przez godzinę lub dwie poobserwować Trafalgar Lodge. Znalazłem sobie dogodne miejsce w ogrodzie opuszczonego domu, nieco wyżej na wzgórzu. Miałem stamtąd widok na kort i dwie postacie zajęte grą w tenisa. Jedną z nich okazał się ów starszy mężczyzna, którego widziałem przedpołudniem. Jego partner był znacznie młodszy i pierś przepasał sobie klubową szarfą. Grali z ogromnym zapałem, niczym para mieszczuchów, którzy postanowili zażyć aktywności na świeżym powietrzu. Trudno sobie wyobrazić bardziej niewinne widowisko. Ciągłe słyszałem ich śmiechy i krzyki, a służąca donosiła im napoje na srebrnej tacy. Przecierałem oczy ze zdumienia, mówiąc sobie jednocześnie, że jestem skończonym durniem. Przecież ludzi, którzy ścigali mnie wśród wrzosowisk samochodami i aeroplanem, otaczała atmosfera mroku i tajemnic, zwłaszcza zaś tego piekielnego antykwariusza — tych łatwo dało się powiązać z zabójstwem Scuddera i knowaniami w celu wywołania chaosu na świecie. Teraz jednak widziałem przed sobą dwóch zupełnie niewinnych obywateli, oddających się beztroskiej rozrywce, którzy wkrótce wrócą do domu, by zjeść zwyczajną kolację i pogrzążyć w rozmowach na temat cen, krykieta i najświeższych plotek z rodzimego Surbiton. Wypatrywałem jastrzębi i sokołów, tymczasem w zastawione przeze mnie sidła wpadły dwa spalone gołębie.



Nagle dołączyła do nich trzecia postać. Na rowerze przyjechał mężczyzna torbą z kijami golfowymi na ramieniu. Okrążył powoli kort, witany radosnymi krzykami obu graczy. Cała trójka zaczęła się przyjaźnie przekomarzać i było w tym coś nadzwyczaj angielskiego. Najtęższy z nich sięgnął w pewnym momencie po chusteczkę, otarł spocone czoło i ogłosił, że powinien skorzystać z kąpieli. Usłyszałem go bardzo wyraźnie.

— Muszę się wytapląć w mydlinach — oznajmił. — Dzięki temu stracę trochę na wadze i zyskam przewagę nad Bobem. Będziesz się musiał jutro namachać kijkiem nad dołkiem.

Doprawdy nie sposób sobie wyobrazić bardziej angielskiego sposobu mówienia.

Cała trójka wróciła do willi, a ja poczułem się jak ostatni idiota. Przez cały ten czas obszcze kiwałem niewłaściwe drzewo. Mogłem być co prawda świadkiem przedstawienia, ale z kogo w takim razie składała się ich publiczność? Przecież żaden z tej trójki nie wiedział, że obserwuję ich przyczajony za rododendronem. Nie potrafiłem uwierzyć, że nie są tymi, na których wyglądali — zwyczajnymi angielskimi sportsmenami z przedmieść, może odrobinę nudnymi, przyznaję, ale za to zupełnie nieszkodliwymi.

Miałem jednak do czynienia z trójką ludzi: starszym, grubasem i chudzielcem. Ich dom pasował do opisu z notatek Scuddera. A półtorej mili od brzegu cumował jacht silnikowy z co najmniej jednym niemieckim oficerem na pokładzie. Pomyślałem o martwym Karolidesie, Europie znajdującej się na skraju katastrofy i mężczyznach, których pozostawiłem w Londynie, oczekujących z niepokojem na dalszy rozwój wypadków. Brakowało miejsca na wątpliwości: piekło mogło się rozpętać w każdej chwili. Czarny Kamień zwyciężał, a gdyby udało im się przetrwać tę czerwcową noc, ich sukces był przypieczętowany.

Nie pozostawało mi nic innego, jak upierać się przy swoim, tak jakbym nie miał cienia wątpliwości. Jeśli robić z siebie głupca, to przynajmniej w dobrym stylu. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem aż takich oporów przed zabranieniem się do zadania. Wolałbym już odwiedzić jaskinię uzbrojonych po zęby anarchistów albo z pistoletem korkowym w ręku stawić czoło rozwścieczonemu lwu, niż zapukać do tego domu i powiedzieć trzem radosnym Anglikom, że przejrzałem ich grę.

Potrafiłem sobie wyobrazić salwę ich śmiechu.

Nagle przypomniałem sobie, co usłyszałem kiedyś w Rodezji od starego Petera Pienaara — wspominałem o nim już w tej opowieści. Był to najlepszy tropiciel, jakiego spotkałem, a zanim osiągnął swoją szanowaną pozycję, zdarzało mu się działać po niewłaściwej stronie prawa i uciekać przed władzami. Gdy pewnego dnia zaczęliśmy rozmawiać na temat najlepszych kamuflaży, Peter zaznajomił mnie z zaskakująca teorią. Jego zdaniem — pomijając dowody dające całkowitą pewność, takie jak odciski palców — jeśli zbrodniarz zna się na swoim fachu, sam opis jego wyglądu rzadko przydaje się w identyfikacji. Nie miał jednak na myśli uciekania się do dziecinnych sztuczek w rodzaju farbowania włosów i noszenia sztucznego zarostu, chodziło mu o coś, co nazywał „atmosferą”.

Każdy człowiek, który potrafi się wtopić w zupełnie inne środowisko niż to, z którego się wywodzi, a co ważniejsze, zachowywać się tak, jakby był jego urodzonym mieszkańcem, może wyprowadzić w pole najbystrzejszych detektywów na świecie. Aby mi to zobrazować, Peter przytoczył opowieść o tym, jak pewnego dnia pożyczył czarny płaszcz i poszedł do kościoła, gdzie przesiedział całą mszę obok człowieka, który go poszukiwał. Gdyby ów mężczyzna widział go kiedyś w przyzwoitym towarzystwie, na pewno by go rozpoznał, ale znając Petera jedynie jako osobnika wymachującego bronią w podejrzanych lokalach, w świątyni w ogóle nie zwrócił na niego uwagi.

To wspomnienie — pierwsza rzecz tego dnia — podniosło mnie nieco na duchu. W końcu stary Peter był naprawdę przebiegłym ptaszyskiem, a ludzie których ścigałem w niczym mu nie ustępowali. I co, jeśli oni również zabawiali się w jedną z takich gier? Tylko głupiec stara się wyglądać zupełnie inaczej: sprytny człowiek będzie wyglądał tak samo, a nikt go nie rozpozna.

Zresztą to jedna z maksym Petera pomogła mi się odnaleźć w roli kamieniarza. „Odgrywając jakąś rolę, musisz przede wszystkim przekonać samego siebie. Dopiero wtedy inni ci uwierzą”. To by tłumaczyło grę w tenisa. Ci ludzie wcale nie grali; oni weszli w nowe życie tak naturalnie, jakby było ich własnym. Może zabrzmiało to jak banał, ale Peter zwykł powtarzać, że wszyscy sławni przestępcy posiadli tę umiejętność.

Zbliżała się ósma wieczorem, wróciłem więc do hotelu i wydałem Scaifowi kolejne polecenia. Powiedziałem mu, jak ma rozmieścić swoich ludzi, nie mając zaś najmniejszej nawet ochoty na kolację, wybrałem się na spacer. Obszedłem opuszczone pole golfowe i dotarłem na tyły zabudowań na północnej krawędzi klifu.

Spotkałem po drodze kilka osób w sportowych strojach, którzy opuszczali korty i plażę oraz strażnika ze stacji telegraficznej, minąłem również wracających po pracy osiołki i arlekinów. Na tle granatowiejącego nieba rozbłysły światła na pokładzie „Ariadny” i niszczyciela, a w pobliżu Cork zaślniły latarnie liniowych parowców kierujących się ku Tamizie. Wszystko wyglądało tak zwyczajnie i niewinnie, że poczułem kolejny przypływ wątpliwości. Musiałem zebrać w sobie wszystkie siły, by o wpół do dziesiątej raz jeszcze pospacerować do Trafalgar Lodge.

Idąc w tamtą stronę, natknąłem się na służącą prowadzącą na smyczy charta, który przypomniał mi o moim rodezyjskim psie. Zabierałem go ze sobą na polowania na wzgórzach Pali. Uganialiśmy się za szarymi ridbokami i do dziś pamiętam, jak szliśmy w ślad za zwierzęciem i obaj straciliśmy je z oczu. I on, i ja mogliśmy się pochwalić bystrym wzrokiem, ale ta antylopa po prostu zniknęła. Dopiero później odkryłem, co się stało: zwierzę zatrzymało się przed niewielkim szarym pagórkiem, stając się równie niewidoczne jak wrona pośród burzowych chmur. Wcale nie musiało uciekać, wystarczyło, że stanęło spokojnie i stopiło się z tłem.

Wyłowiwszy z pamięci to wspomnienie, przełożyłem je na aktualną sytuację i wyciągnąłem wnioski. Czarny Kamień nie musiał zrywać się do ucieczki. Wystarczyło, że wtopili się w krajobraz. Wreszcie znalazłem się na właściwym tropie i poprzysiągłem sobie, że się nie poddam. Ostatnie słowo w tej sprawie należało do Petera Pienaara.

Ludzie Scaifego z pewnością dotarli już na wyznaczone stanowiska, w okolicy nie dostrzegłem jednak ani śladu człowieka. Dom był doskonale widoczny dla każdego, kto miał ochotę mu się przyglądać. Od drogi na klif oddzielało go wysokie na trzy stopy ogrodzenie, pootwierano wszystkie okna na parterze, a przytłumione światła i odgłosy rozmowy wyraźnie wskazywały, w którym z pomieszczeń mieszkańcy kończyli właśnie kolację. Wszystko wydawało się wyraźne i

poza podejrzeniem niczym dobroczynna kwesta. Czując się jak ostatni głupiec, otworzyłem furtkę i zadzwoniłem do drzwi.

Ludzie mojego typu, którzy spędzili szmat czasu w najpaskudniejszych zakątkach świata, doskonale dogadują się zazwyczaj z dwoma rodzajami osób: przedstawicielami najniższych i najwyższych klas. Tylko wśród nich możemy liczyć na zrozumienie. Doskonale dogadywałem się ze wszelkiego rodzaju włóczęgami, pasterzami i kamieniarzami, bez trudności przychodziło mi również nawiązanie porozumienia z ludźmi pokroju sir Waltera czy towarzyszących nam wczoraj oficjeli. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale tak właśnie jest. Natomiast odnalezienie się w sytym, ukontentowanym świecie klasy średniej, wśród mieszkańców szykownych willi na przedmieściach ludziom takim jak ja nastęrczało wielu problemów. Nie wiedzieliśmy, jak się zachować, nie znaliśmy obowiązujących konwenansów i baliśmy się ich jak czarnej mamby. Kiedy elegancka pokojówka otworzyła przede mną drzwi, ledwie potrafiłem wydukać słowo.

Zapytałem o pana Appletona i poproszono mnie do środka. Planowałem wejść do jadalni i zaskoczyć zebranych. Gdyby mnie rozpoznali, miałbym upragnione potwierdzenie swojej teorii. Ale wchodząc do przestronnego hallu poczułem, że ten dom ze mną wygrał. Na wieszakach wisiały kije golfowe, rakiety do tenisa, słomkowe kapelusze i sportowe kaszkiety, widziałem również całe rzędy rękawiczek i lasek spacerowych, które można znaleźć w tysiącach brytyjskich domów. Starą dębową szafę wypełniały równo rozwieszone płaszcze i peleryny, w korytarzu tykał antyczny zegar, na ścianach wisiały wypolerowane miedziane szkandele do podgrzewania pościeli, a także barometr i plakat sławiący zwycięstwo Chiltren nad St. Leger. To miejsce było tak ortodoksyjnie brytyjskie jak wnętrze anglikańskiego kościoła. Kiedy pokojówka poprosiła mnie o podanie nazwiska, zdradziłem je bez namysłu i pozwoliłem się zaprowadzić do palarni po prawej stronie korytarza.

Ten pokój okazał się jeszcze gorszy. Nie zdążyłem mu się lepiej przyjrzeć, zauważyłem jednak stojące na kominku fotografie przedstawiające bez wątplenia uczniów jakiejś angielskiej szkoły lub uniwersytetu. Właśnie się im przyglądałem, gdy służąca otworzyła drzwi do jadalni i podała moje nazwisko, w związku z czym straciłem szansę na

zaobserwowanie ich reakcji.

Kiedy wszedłem, starzec podniósł się ze swojego krzesła u szczytu stołu, okrążył go i wyszedł mi naprzeciw. Miał na sobie strój wieczorowy: krótką marynarkę i czarny krawat. Tak samo nosił się ten, którego nazywałem w myślach grubaskiem. Mężczyzna z ogorzałą twarzą nosił marynarkę z błękitnej serży i białą koszulę z luźnym kołnierzykiem, całość dopełniał zaś krawat w szkolnych lub klubowych barwach.

Zachowanie starca było nienaganne.

— Pan Hannay, prawda? — zapytał z wahaniem. — Słyszałem, że chciał się pan ze mną zobaczyć. Panowie wybaczą... — Spojrzał na swoich towarzyszy. — Zaraz do was dołączę. Przejdźmy tymczasem do palarni.

Chociaż nie miałem do siebie ani krztyny zaufania, zmusiłem się do odegrania maskarady i zamiast posłuchać jego prośby, przysunąłem sobie krzesło i usiadłem.

— Wydaje mi się, że już kiedyś się spotkaliśmy — zacząłem. — Mam również wrażenie, że wie pan, co mnie tu sprowadza.

W jadalni panował dyskretny półmrok, ale na ile mogłem dostrzec ich twarze, wciąż odgrywali swoje role.

— Być może, być może — zgodził się staruszek. — Nie mam już tak dobrej pamięci jak kiedyś. Obawiam się jednak, że musi pan wyjawić przyczynę swoich odwiedzin, sir, ponieważ naprawdę nie mam pojęcia, co może pana sprowadzać.

— No cóż — brnąłem, wiedząc, że muszę brzmieć jak skończony idiota. — Przyszedłem oznajmić, że wasza gra została przejrzana. Mam przy sobie nakaz aresztowania całej waszej trójki, panowie.

— Aresztowania? — gospodarz spojrzał na mnie z autentycznym zaskoczeniem. — Na Boga, za cóż?

— Za zabójstwo Franka Scuddera, do którego doszło dwudziestego trzeciego maja w Londynie.

— Nigdy w życiu nie słyszałem o tym człowieku! — W jego głosie słyszałem wyraźne oszołomienie tą informacją.

— To chyba to morderstwo z Portland Place — przypomniał sobie jeden z pozostałych. — Czytałem o tym w gazetach. To szaleństwo, sir! Kto pana w ogóle przysłał?

— Scotland Yard — odparłem spokojnie.

Przez minutę w jadalni panowała grobowa cisza. Starzec wbijał wzrok w talerz, bezmyślnie bawiąc się orzeszkiem, i wyglądał niczym wcielenie niewinności. W końcu grubas postanowił zabrać głos. Zaczynał się przy tym, jak człowiek który ostrożnie dobiera swoje słowa.

— Nie przejmuj się, wuju. — Spojrzał na gospodarza. — To przecież jakaś idiotyczna pomyłka. Takie rzeczy czasem się jednak zdarzają i bez wątpienia możemy to bardzo szybko wyjaśnić. Wykazanie naszej niewinności nie powinno nastreczyć żadnych problemów. Mogę udowodnić, że dwudziestego trzeciego maja przebywałem w swoim domu na wsi, a Bob spędzał czas w sanatorium. Ty byłeś wtedy w Londynie, ale chyba potrafisz wyjaśnić, co tam robiłeś.

— Ależ oczywiście, Percy! To łatwe. Dwudziestego trzeciego... Dzień po weselu Agathy! Niech no się tylko zastanowię. Co ja wtedy robiłem... O poranku przyjechałem z Woking i zjadłem lunch z Charliem Symonsem. Potem zaś... już wiem! Poszedłem na kolację do Fishmongerów. Pamiętam, że ich poncz trochę mi zaszkodził, następnego dnia nie czułem się najlepiej. Mam przecież nawet pudełko cygar, które od nich wtedy dostałem. O tutaj, proszę spojrzeć. — Wskazał z nerwowym uśmiechem skrzyneczkę na stole.

— Wydaje mi się, sir — odezwał się najmłodszy głosem pełnym szacunku — że musiało dojść do jakiejś omyłki. Przestrzegamy prawa jak wszyscy Anglicy i nie chcielibyśmy, żeby Scotland Yard naraził się na śmieszność. Prawda, wuju?

— W rzeczy samej, Bob — zgodził się starzec, odzyskując animusz. — To oczywiste, że zrobimy wszystko, aby dopomóc władzom. Ale coś takiego... To naprawdę przesada. Nadal nie potrafię w to uwierzyć.

— A to się Nellie ubawi — zauważył grubasek. — Zawsze ci powtarzała, że umrzesz z nudów, bo nigdy ci się nic nie przytrafia. No i proszę, doczekałeś się! — Zachichotał radośnie.

— Na Jowisza, to prawda! Pomyślcie tylko, ile będziemy mieli do opowiadania w klubie. Doprawdy, panie Hannay, myślałem, że będę bardziej poirytowany koniecznością udowadniania swojej niewinności, ale szczerze mówiąc strasznie mnie to bawi. Jestem skłonny panu wybaczyć, że tak mnie pan z początku przestraszył. Wyglądał pan tak posepnie, jakby pan wierzył, że we śnie morduję ludzi.

Okazywali się zbyt przekonujący. Nie mogłem uwierzyć, że grają. Poczułem, jak opuszczają mnie resztki ducha i byłem gotów ich przeprosić. Wciąż jednak powtarzałem sobie, że chociaż miałbym zostać pośmiewiskiem wszystkich Brytyjczyków, muszę doprowadzić tę sprawę do końca. Świece nie dawały wystarczającego światła, wstałem więc i próbując ukryć swoje zmieszanie nacisnąłem włącznik światła elektrycznego. Nagły rozbłysk sprawił, że wszyscy zaczęli mrugać, a ja mogłem się dokładnie przyjrzeć tym trzem twarzom.

Nic mi to nie dało. Jeden okazał się stary i łysy, drugi przysadzisty, trzeci ogorzały i szczupły. Mogli to być oczywiście ci sami ludzie, którzy próbowali mnie dopaść w Szkocji, ale nie potrafiłem tego stwierdzić ze stuprocentową pewnością. Chociaż miałem dobrą pamięć do szczegółów i w przebraniu kamieniarza rozmawiałem z dwójką z nich, a udając Neda Ainsliego spotkałem się z trzecim, nadal nie potrafiłem się zdecydować. Wyglądali na tych, za których się podawali, nie przysięgłbym, że widziałem wcześniej któregoś z nich.

W przytulnej jadalni, której ściany ozdabiały ryciny oraz portret jakiejś damy nad kominkiem, nie umiałem w żaden sposób połączyć tutejszych mieszkańców z bandytami z wrzosowisk. Obok mojej ręki leżała srebrna papierośnica z grawerunkiem, który głosił, że jest to „nagroda dla pana Percivala Appletona za zwycięstwo w turnieju golfowym w klubie St. Bede”. Tylko wspomnienie Petera Pienaara powstrzymało mnie przed rozpaczliwą ucieczką.

— Cóż... — Starzec zmierzył mnie uprzejmym spojrzeniem. — Mam nadzieję, że udało nam się rozwiązać pańskie wątpliwości, sir.

Nie potrafiłem wydobyć z siebie słowa.

— Mam nadzieję, że porzuci pan tę idiotyczną sprawę — kontynuował. — Nie chcę się skarżyć, ale potrafię sobie wyobrazić, jak wielkie wzburzenie wśród szanowanych obywateli mogłoby wzbudzić takie najście.

Pokręciłem jedynie głową.

— No nie — jęknął młodzieniec. — Tego już za wiele!

— Chce nas pan odprowadzić na posterunek? — dopytywał grubasek. — Być może to faktycznie najlepsze rozwiązanie, domyślam się jednak, że nie chciałby pan tego załatwiać z lokalnymi władzami. Nie chcę oczywiście rzucać bezpodstawnych oskarżeń, ale mamy chyba

prawo zobaczyć ten nakaz, o którym pan wspomniał? Wiem, że wykonuje pan jedynie swój obowiązek i że to strasznie niezręczna sytuacja. Ma pan może pomysł, co powinniśmy zrobić?

Mogłem dwie rzeczy: przywołać swoich ludzi i dokonać zatrzymania albo przyznać się do blefu i ulotnić. Czułem się wręcz zahipnotyzowany atmosferą niewinności panująca w tym miejscu. Właściwie była to nie tylko niewinność, ale i szczerłość oraz autentyczne zatroskanie widoczne na twarzach trójki mężczyzn.

„Och, Peterze Pienaarze”, westchnąłem w myślach i przez chwilę nosiłem się z zamiarem uznania się za głupca i przeproszenia ich za wszystko.

— A może byśmy tak rozegrali partyjkę brydża w międzyczasie? — zaproponował nagle grubasek. — Pan Hannay zyska dzięki temu chwilę do namysłu, a nam i tak zawsze brakuje czwartego gracza. Zechce pan z nami usiąść, sir?

Przyjąłem zaproszenie, jakbyśmy znajdowali się w zwyczajnym klubie. To spotkanie wywierało na mnie przedziwny wpływ. Przeszliśmy do palarni, a kiedy zasiadłem przy stoliku, zaproponowano mi cygara i napoje. Czułem się jak we śnie. Przez otwarte okno widziałem zalane księżycowym blaskiem klify i morze. W mojej głowie również pulsowało jakieś białe światło. Trójka moich gospodarzy całkowicie odzyskała rezon i zaczęli się przerzucać typowo brydżowymi odzywkami, jakie można usłyszeć w każdym klubie. Musiałem wyglądać naprawdę pociesznie, siedząc wśród nich ze zmarszczonymi brwiami i błędnym spojrzeniem.

Moim partnerem został młodzieniec o ciemnej karnacji. Zwykle całkiem nieźle radziłem sobie przy brydżowym stoliku, ale tej nocy szło mi fatalnie. Widząc, że udaje się im wprawić mnie w zakłopotanie, cała trójka zachowywała się coraz swobodniej. Wciąż wpatrywałem się w ich twarze, lecz niczego nie potrafiłem z nich wyczytać. Oni nie tylko inaczej wyglądali. Oni byli po prostu całkowicie inni. Ja zaś z coraz większą rozpaczą wracałem do słów Petera Pienara.

I nagle doznałem olśnienia.

Starzec odłożył karty, aby sięgnąć po cygaro. Nie zrobił tego jednak od razu, tylko siedział przez chwilę, postukując palcami o kolano.

To właśnie wtedy przypomniałem sobie, jak stałem przed nim w



domu na wrzosowiskach, mając dwa pistolety wycelowane w tył głowy.

Wystarczył ten jeden drobiazg, który mógłbym przecież przegapić, skupiając się w tym momencie na kartach. Miałem jedną szansę na tysiąc i udało mi się ją wykorzystać. Poczułem się, jakbym dostał zastrzyk świeżego powietrza. Chmura zwątpienia opuściła mój umysł i spojrzałem na całą trójkę świeżym okiem.

Zegar na kominku wybił dziesiątą.

Trzy twarze zaczęły się zmieniać przed moimi oczami i odsłaniać swoje tajemnice. To najmłodszy z nich był mordercą. Jego oczy, przed chwilą tak pogodne, zdradzały upodobanie do okrucieństwa i bezwzględności. Bez wątpienia to on przebił nożem Scuddera i strzelił do Karolidesa.

Oblicze grubasa zadawało się zmieniać za każdym razem, gdy na nie spojrzałem. Zamiast twarzy nosił tysiąc masek, które, jak przypuszczałem, dopasowywał wedle woli. Nadawał się na wybitnego aktora. Kto wie, może to on uprzedniej nocy wcielił się w lorda Alloę. Zresztą i tak nie odgrywało to większego roli. Zastanawiałem się, czy to on wysłodził Scuddera i zostawił mu swoją wizytówkę. Scudder mówił, że ów mężczyzna seplenił i mogłem sobie wyobrazić, jak ta sztuczka dodawała grozy jego wizerunkowi.

Najważniejszy był jednak łyсы starzec. Miał bezduszny, lodowaty umysł, działający z bezwzględnością młota parowego. Patrząc na niego w tej chwili, nie potrafiłem uwierzyć, że podejrzewałem go o życzliwość. Miał nieludzkie i bezlitosne ptasie spojrzenie, a szczęki zaciskały się tak, jakby wykuto je z hartowanej stali. Grając z nimi w brydża, czułem, że moje serce z każdą sekundą wzbiera nienawiścią, która dławiła mnie do tego stopnia, że przestałem reagować na mojego partnera. Nie potrafiłem dłużej znieść tego towarzystwa.

— Spójrz no tylko na zegar, Bob — odezwał się nagle starzec. — Musisz przecież zdążyć na pociąg. Bob wraca dziś do miasta — wyjaśnił, odwracając się w moją stronę. Jego głos w moich uszach ociekał obłudą. Również spojrzałem na zegar, który wskazywał wpół do jedenastej.

— Obawiam się, że nie mogę do tego dopuścić — stwierdziłem.

— A niech mnie! — zdenerwował się młodzieniec. — Myślałem, że dał pan sobie już spokój z tymi bzdurami. Naprawdę muszę jechać. Zostawię panu swój adres i wszystkie potrzebne zapewnienia.

— Nie. Zostanie tu pan — nie ustępowałem.

W tej chwili musieli sobie uświadomić, że ich gra została przejrzana. Skoro nie udało im się wystrychnąć mnie na dudka, stracili jedyną szansę. Nagle odezwał się starzec:

— Wpłacę kaucję za mojego siostrzeńca — zaoferował. — To powinno pana uspokoić, panie Hannay.

Być może zadziałała jedynie moja wyobraźnia, ale wydawało mi się, że wyczułem w jego głosie niepokój. Spojrzałem na niego i zobaczyłem półprzymknięte powieki, które tak mocno zapadły mi w pamięć.

Z całej siły zadałem w gwizdek.

W ułamku sekundy pogasły światła. Poczułem jak od tyłu otaczają mnie czyjeś silne ramiona, blokując dostęp do kieszeni, w których mógłbym nosić pistolet.

— *Schnell, Franz!* — zakrzyknął jakiś głos. — *Das Boot! Das Boot!*

Blask księżyca wydobył sylwetki dwójki moich ludzi biegnących przez trawnik. Śniadoskóry młodzieniec momentalnie wyskoczył przez okno i nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, przeskoczył przez niskie ogrodzenie posiadłości. Chwyciłem starucha, a w palarni zaroilo się od ludzi. Zobaczyłem grubasa zakutego w kajdanki, skupiłem się jednak na tym, co działo się na zewnątrz: tak, gdzie Franz pędził w stronę schodów wiodących na plażę. Biegł za nim jeden z naszych, ale było już zbyt późno. Widziałem, jak furtka zatrzaskuje się za plecami zbiega. Zaciskałem palce na szyi łysego starca, podczas gdy trzeci z konspiratorów gnał po schodach na brzeg.

Nagle mój więzień się wyrwał i rzucił mną o ścianę. Usłyszałem trzaśnięcie, jakby ktoś pociągnął za jakąś zasuwę. W głębi ziemi, gdzieś daleko, daleko od nas rozległ się donośny, grzmiący odgłos i zobaczyłem przez okno chmurę pyłu, unosząca się nad zawałonymi schodami.

Wreszcie ktoś zapalił światło.

Starzec wbił we mnie wzrok pełen nienawiści.

— Uratowany! — zachrypiał. — Już go nie dopadniecie. Zniknął. Zwyciężył! *Der Schwarze Stein ist in der Siegskorone.*

W jego oczach płonęło coś więcej niż satysfakcja z tryumfu. Ptasie spojrzenie błyszczało niczym wzrok najprawdziwszego jastrzębia, lśniło płomieniem fanatyzmu. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, z jak wielkim zagrożeniem miałem do czynienia. Ten człowiek nie był jedynie

szpiegiem: na swój pokrętny sposób był również zagorzałym patriotą.

Na jego nadgarstkach zabłyśły kajdanki.

— Mam nadzieję, że Franz będzie mógł nacieszyć się swoim zwycięstwem — powiedziałem na pożegnanie. — Może pan nie ma najświeższych wieści, ale „Ariadna” od czterech godzin znajduje się w naszych rękach.

Trzy tygodnie później, o czym wie cały świat, wybuchła wojna. Już w pierwszym tygodniu wstąpiłem do marynarki, a dzięki doświadczeniu z wojen z ludem Matabelów, z miejsca dostałem awans na kapitana. Ale najważniejszy etap służby, jak sądzę, odbyłem zanim jeszcze nałożyłem na siebie mundur.

Richard Hannay powróci już wkrótce w kolejnym tomie przygód - *Greenmantle!*

# Posłowie

Wojciech Orliński

Niewinny człowiek przypadkowo wkręcony w szpiegowską aferę o globalnych rozmiarach musi uciekać przed wszystkimi na raz. Chcą go zabić agenci wrogiego mocarstwa. Policja jego własnego kraju uważa go za mordercę. Każdy przechodzień — ba, każdy samolot na niebie! — może go nagle zaatakować. Bohater ciągle zmienia przebrania, na różne niezwykle sposoby przenosi się z miasta do miasta, próbując zapobiec Straszliwie Straszliwemu Czemuś Tam.

Ten schemat fabularny jest dzisiaj wyeksploatowany do granic możliwości (a nawet bardziej), przede wszystkim za sprawą filmów Hitchcocka. Ale ktoś go przecież kiedyś wymyślił i wcale nie był to Hitchcock.

Możemy tylko pozazdrościć pierwszym czytelnikom *39 schodów*, który blisko sto lat temu czytali tę powieść z wypiekami na twarzy, zachwyceni nowatorską formułą szpiegowskiego thrillera. My dzisiaj będziemy w tej książce szukać innych smaczków.

Hitchcock adaptując *39 schodów* (polski tytuł wersji filmowej to *39 kroków*) wyrzucił z powieści Johna Buchana całą politykę. Miał najwyraźniej inne poglądy. Filmy Hitchcocka są wywrotowe, kwestionują autorytet władzy, kpią z klasowej struktury społeczeństwa.

Buchan tymczasem opisuje świat z uroczą naiwnością szkockiego konserwatysty. Sztywna klasowa hierarchia brytyjskiego społeczeństwa tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej pokazana jest tutaj jako rajski, doskonały, naturalny porządek rzeczy.

Według kryteriów roku 2014 Richard Hannay, główny bohater tej powieści, to amoralna menda. Nie trzeba być jakimś skrajnym lewakiem, żeby marzyć o posłaniu go na śmietnik historii.

Na początku powieści dowiadujemy się, że „udało mu się zgromadzić pewien majątek” (potem doprecyzowane jest, że zgromadził go na kolonialnym wyzysku Afryki). W związku z tym nie ma w życiu nic do roboty, nudzi się i popada w depresję (wypłacz się w banknoty, bucu

— dodaje współczesny czytelnik).

Z depresji ratuje go wspomniana afery szpiegowska. Biegając przez edwardiańską monarchię bohater spotyka ludzi na wszystkich szczeblach hierarchii i uderza jego obojętność na cierpienie ludzi z klasy niższej.

Najpierw mamy biednego mleczarza, którego Hannay bez cienia skrępowań posyła za kratki. Wiadomo, mleczarz to tylko mleczarz, miejsce ludzi z tych sfer jest czasem po tej, czasem po tamtej stronie więziennych krat.

Potem równie bezczelnie wykorzystany „niedowidzący kamieniarz”, który w ogóle zdaje się nie mieć tego za złe Hannayowi. Przeciwnie, raz wykorzystany kamieniarz potem jeszcze radośniej służy swojemu panu po raz drugi.

Przebierając się za ludzi z klas niższych Hannay potem musi z powrotem przebrać się za Hannaya z klasy średniej. Wygląda to w tak prosto (sprowadza się do oczyszczenia butów i założenia koszuli z kołnierzykiem), że możemy się dziwić, dlaczego właściwie ludzie z klasy niższej też na to nie wpadną. Pewnie lubią swoją pozycję, to się wydaje milczącym założeniem powieści.

Na ile poglądy narratora-bohatera zbiegają się z poglądami autora, to oczywiście osobne pytanie (acz wnosząc z politycznej kariery autora w partii konserwatywnej, w tym wypadku odpowiedź wydaje się prosta). Monolog, w którym Hannay wyznaje, jak niezręcznie się czuje w towarzystwie klasy średniej, brzmi jednak już raczej jak deklaracja pisarza niż monolog bohatera.

Chwilę wcześniej dowiadujemy się, że w typowym, szanującym się domu z klasy średniej powinny pracować trzy osoby ze służby. Oczywiście, dziś jest inaczej, dziś klasa średnia nikogo bezpośrednio nie wyzyskuje. Po co, skoro pranie i sprzątanie wspomagają nam pralki i odkurzacze. Wyprodukowane przez chińskich niewolników albo wyzyskiwanych pracowników „tymczasowych” z zakładów Chung Hong pod Wrocławiem.

Tę deklarację należy traktować wprost. Sto lat po napisaniu tej powieści jedno pozostaje w mocy: my, jako klasa średnia, nie lubimy samych siebie.

Wiecznie boimy się, że los nas zrzuci do poziomu mleczarza czy

kamieniarza (koszula z kołnierzykiem nie uratuje mnie przed upadkiem prasy papierowej!). I wiecznie marzymy, że coś pozwoli nam na ucieczkę do góry. Buchanowi się udało. Napisał bestseller. Nam pozostaje tylko czytanie go z tęsknym westchnieniem. Ach, wpaść w depresję nie z powodu czekania na przelew, tylko majątku tak znacznego, że nie będziemy mieli nic do roboty...

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[1. Nieboszczyk](#)

[2. Uciekający mleczarz](#)

[3. Przygoda z odczytanym oberżystą](#)

[4. Przygoda z kandydatem radykałów](#)

[5. Przygoda z niedowidzącym kamieniarzem](#)

[6. Przygoda z łysym archeologiem](#)

[7. Przygoda z wędkarzem](#)

[8. Czarny Kamień nadchodzi](#)

[9. Trzydzieści dziewięć schodów](#)

[10. Spotkanie nad morzem](#)

[Posłowie](#)